

KAMENIA

LUBLIN

15-31.VII.1961

Nr 13/14 (227-8)

ROK XXVIII

CENA 3 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Majdanek • Gdzie jest litera B? • Zachwiany ideał • Rozmowa z Marią Kuncewiczową • Czwarty z „Reflektora” • Lubelski Nikifor • Z dziennikarzami na zwiady • Z Teatru im. Osterwy • Nad Uherką • LDK • I in.

FAKTY I LICZBY W KULTURZE

EDWARD NADULSKI

22 Lipca — rocznica władzy ludowej jest okazją do podsumowania i oceny działalności w poszczególnych dziedzinach naszego życia.

Trudno byłoby nam oczywiście ogarnąć tutaj całokształt osiągnięć na odcinku kultury w ciągu lat siedemnastu, wobec szerokiego zakresu tej działalności, spróbujemy jednak dokonać przeglądu przynajmniej tego, co osiągnięto na Lubelszczyźnie w ostatnich latach, a zwłaszcza w roku kulturalno-oświatowym 1960/61.

Założeniem naszej polityki kulturalnej było zarówno uporządkowanie spraw organizacyjnych, jak też nastawienie programu działalności kulturalno-oświatowej podległych placówek i nadzorowanych przez Wydział instytucji w kierunku nasilenia pracy oświatowej oraz stworzenia odpowiedniej bazy materialnej przez opracowanie programu inwestycyjnego i realizację planu konserwacji i odbudowy obiektów zabytkowych.

Dzięki zespolonym wysiłkom Wydziału i podległych placówek, przy pomocy i poparciu władz wojewódzkich i władz terenowych uzyskano poważne wyniki.

Ogólnie można stwierdzić, że w dziedzinie kultury w ostatnim okresie zarysowała się duża aktywność całego

społeczeństwa wyrażająca się przede wszystkim w akcjach prowadzonych w ramach czynów społecznych, które zmierzały do rozbudowy i poprawy bazy materialnej. Nastąpił również wzmocniony rozwój amatorskiego ruchu artystycznego.

■ Do głównych osiągnięć możemy zaliczyć:

■ Radykalną poprawę struktury organizacyjnej Wydziału Kultury i stylu jego pracy.

■ Wydzielenie drogą uchwały Prezydium WRN samodzielnych jednostek organizacyjnych w prezydium powiatowych rad narodowych jako wydziałów i referatów kultury ze wzmocnioną ilościową i jakościową obsadą kadrową, liczącą obecnie łącznie 44 pracowników. Nowo zaangażowani pracownicy tych jednostek są stopniowo przeszkalani na kursach organizowanych przez Ministerstwo Kultury.

■ W ramach decentralizacji przekazano podległym placówkom szczebla wojewódzkiego, jak WIMBP, LDK, Muzeum Lubelskie — i prezydium powiatowych rad narodowych zadania w zakresie nadzoru i fachowej pomocy merytorycznej.

■ Z chwilą rozpoczęcia planowego działania Wojewódzkiej Komisji Koordynacyjnej przystąpiono do umacniania istniejących i dalszego organizowania powiatowych komisji koordynacyjnych.

■ Rozszerzyła się sieć placówek i liczba świadczonych przez nie usług.

Liczba kin w miastach i na wsi w okresie od 1955 r. wzrosła o 22 placówki. Liczba miejsc na 1000 mieszkańców podniosła się z 10,5 do 11,6. Obsłużono w 1960 r. 6.805.490 widzów.

(Dokończenie na str. 2)

PO SIEDEMNASTU LATACH

WALDEMAR BABINICZ

W EDEUG stanu na dzień 31 maja 1961 r. ilość inteligencji zamieszkałej na wsi wynosi blisko ćwierć miliona osób. Dokładnie sześć razy więcej niż w roku 1937. Samych tylko lekarzy jest w tej chwili sto razy więcej niż przed wojną. Należy przy tym pamiętać, iż liczba pracowników służby zdrowia z wyższym i średnim wykształceniem wzrasta poważnie z każdym rokiem. A inne grupy? Agronomowie, lekarze weterynarii, pracownicy rad narodowych, gminnych spółdzielni, bibliotekarze, kierownicy świetlic i wiejskich domów kultury, a przede wszystkim nauczyciele, których we wszystkich typach szkół należy liczyć można okragle 100.000. Największe znaczenie mają fakty następujące: 1) prawie sto tysięcy ludzi pracuje w tej chwili w takich instytucjach wiejskich, które przed wojną albo w ogóle nie istniały, albo ledwie kilkukrotnie; 2) w roku 1961 możemy już mówić o przewadze ilościowej młodej inteligencji wiejskiej, która „patent inteligencji” zdobyła w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Przy takim składzie osobowym należy mieć na względzie całkowite przeobrażenie inteligencji wiejskiej, zasadnicze przemiany w jej postawie, zainteresowaniach, upodobaniach, inaczej też trzeba oceniać jej rolę w środowisku i, co najważniejsze, wzajemne kontakty, formowanie się tak zwanego jednolitego gruntu inteligentnego na wsi.

W 1937 r. na terenie jednej gminy

(15—20 wsi) istniały dwa do czterech dworów z administratorami, rządca-mi, służbą leśną, dwie plebanie, jedna szkoła siedmioklasowa i kilka ekspozycji, urząd gminny z sekretarzem i kilkoma urzędnikami, felczer najczęściej bez żadnego wykształcenia, podkuwacz koni, podniesiony do godności weterynarza, kilku prywatnych sklepikarzy z domowym wykształceniem, policja. Wszyscy z wyjątkiem nauczycieli lojalnie współpracowali z dworem, nierzadko byli od niego częściowo zależni. W r. 1961 na takim samym obszarze terytorialnym istnieją zgoła przed wojną nieznane następujące instytucje: Państwowe Gospodarstwo Rolne, a obok niego dość często Ośrodek Doświadczalny (łącznie kilku inżynierów rolnictwa i kilku agronomów ze średnim wykształceniem), kilka prezydiów gromadzkich rad narodowych z agronomami i referentami, jeden ośrodek zdrowia z lekarzem, stomatologiem, izbą porodową, gabinetami przyjęć, nie rzadko z wcale nieźle wyposażonym szpitalikiem, ośrodek maszynowy, kilka szkół rolniczych, kilka punktów bibliotecznych, świetlice, gęsto rozbudowana sieć szkolna i jeden punkt weterynaryjny z jednym lub dwoma lekarzami po wyższych studiach. Wszystkie te instytucje utrzymywane są przez państwo, a działalność ich pracowników jest bezpośrednio związana z interesami i potrzebami miejscowego społeczeństwa. Handel jest uspołdzielczony, ilość prywatnych

(Dokończenie na str. 6)

A zaczęło się tak...

SZLIŚMY — żołnierze 1-szej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, która w miarę zbliżania się do granic Polski urosła do rozmiarów 1-szej Armii WP — szliśmy w tamte dni, ciężkie od nieruchomego skwaru. Mundury nasiąkały potem i pyłem, nogi grzęzły w wysuszonej na mial, nieznośnie miękkiej powierzchni drogi...

Wieczorem rozłożyliśmy się nad brzegiem. Upalna noc była jasna od gwiazd, wody Bugu stały się ciemne i wypolerowane, małe falki z pluskiem czółgały się nam do nóg. Przez czarną zieleni zarośli przeświecały okna pobliskiej wsi, wiatr niósł ujadanie psów. Nie pamiętam, czyśmy spali tej nocy.

Następnych dni zaczęła się najpiękniejsza podróż, jaką dane mi było odbyć, choć później podróżowałam trochę po świecie. Przede wszystkim spotkanie z ludźmi. Nie szliśmy już piechotą, ani nie jechaliśmy na rozgrzanych, zakurzonych autach wojskowych. Każda wieś, każda chata witała nas tłumnie, drogi pełne były odświętnie ubranych kobiet, mężczyzn i dzieci. Zbudowano bramy z napisem: „Witajcie, Drodzy Rodacy”. Rzucano się nam na szyję, całowano, płakano na pierś, samiśmy też — specjalnie płacząc — połykali łzy, a czasem bez żenady płakali, śmiejąc się jednocześnie. Ludzie biegli ku nam, wznosili okrzyki, rzucali czapki w powietrze, karmili nas, łapiąc gdzie się dało. Często wciśkano żołnierzom idącym w szeregu koszyk czereśni lub pieczoną gęś. Oficer prowadzący kolumnę nie miał sił na surowość, tym bardziej, że sam wyglądał dość osobliwie z bukietem kwiatów przy każdym guziku bluzy, za pasem i na rogatywce.

Gospodarze wyjeżdżali wozami, kładło się na nie cięższy sprzęt: rusznice, cekaemy, moździerze. Za pułkami jechały długie rzędy tych furmanek, chłopci żegnali na pożegnanie żony i dzieciaki i ruszali w ślad za wojskiem. Często darowano jednostkom po wsiach konie. Spracowane szkapę od pługa awansowały na rumaki pod wierzch i długo, zyczliwie służyły naszym chłopcom w drodze do Berlina...

NOCY były niespokojne, pełne pomruków niemieckich samolotów, wiszących gdzieś wysoko w niebie. Kiedyś stanęliśmy w zagajniku, koło szpitala polowego. Całą noc pikowały wien samoloty, rosnący huk zdawał się rozdzierać płótno namiotów. Rano ujrzeliśmy

drzewa skoszone nalożem, trupy ciężko rannych, przeszytych tej nocy kulami z karabinów maszynowych. Wyglądali jakby spali, leżeli na porządnie zaścielonych łóżkach tylko że nie mieli się już więcej obudzić.

Okolice Lublina nosiły coraz częstsze ślady walki. Porozrywana ziemia ukazywała czarne wnętrza pod rozdartą trawą, po obu stronach drogi wity się węże okopów. Powalone drzewa, zasieki z drutu kolczastego tarasowały drogę. Zwalone w rowy przydrożne, puchły na upale konie, pokazując w otwartych pyskach długie i żółte zęby. Często wiesz, której już nie było — znaczyły szczerbate ściany i kikuty czarnych, nagich kominów. Opuszczone ścieżki zarastały bujnie, pełne zdziczałych, niegdyś ogrodowych kwiatów.

(Dokończenie na str. 2)



Fakty i liczby w kulturze

(Dokończenie ze str. 1)

Państwowa Operetka, działająca od 1957 r. jako przedsiębiorstwo państwowe, uzyskała w ostatnim roku po dokonanych zmianach personalnych znacznie wyższy poziom artystyczny przy równoczesnych dodatnich osiągnięciach ekonomicznych.

Znaczne ożywienie działalności artystycznej na terenie województwa lubelskiego poza miastem Lublinem wykazał **Państwowy Teatr im. J. Osterwy**, który przy ambitnych zadaniach artystycznych wykonał również z powodzeniem plany ekonomiczne. Liczbę spektakli w porównaniu z rokiem 1957 zwiększono z 390 do 571 w r. 1960, z tego liczba przedstawień w terenie z 68 wzrosła do 120 w roku 1959, a w r. 1960 do 233. Liczba premier teatru wynosi 10 rocznie.

Jeszcze większe ożywienie działalności objazdowej przejawiała **Państwowa Filharmonia**, zwiększając nie tylko liczbę koncertów z 290 do 521, lecz również podążając trasy objazdów, obejmując audycjami szkolnymi znacznie większe kręgi młodzieży. Ogólnie liczba słuchaczy w terenie w tym okresie wzrosła z 140.493 do 250.313 osób.

Teatr Lalki i Aktora został przemianowany z dniem 1 lipca 1960 r. na przedsiębiorstwo państwowe. Od 1958 r. Teatr rozwinął również działalność terenową. W r. 1960 na skutek reorganizacji przedsiębiorstwa działalność ta została znacznie zwiększona, równocześnie Teatr skoncentrował wysiłki na podniesieniu artystycznego poziomu przedstawień oraz zwiększył ilość premier.

Na wniosek Wydziału Kultury Prezydium WRN pod koniec 1960 r. podjęto uchwałę o likwidacji Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, które nie spełniało należycie stawianych mu zadań. Na jego miejsce powołano **Wojewódzką Agencję Artystyczną**, która będzie prowadzić działalność impresaryjną i estradowe audycje szkolne. Pozostałe agendy PPIE w zakresie działalności teatralnej przekazano w gestię Państwowego Teatru, a w zakresie muzycznym — Państwowej Filharmonii.

Dążąc do rozwoju czytelnictwa zwiększono w ostatnim roku sieć bibliotek o 23 biblioteki gromadzkie (wiejskie) i filie bibliotek miejskich. Od 1956 r. liczba bibliotek wzrosła z 376 do 426, liczba tomów z 1433 tysięcy do 2762 tysięcy, liczba czytelników z 206 tysięcy do 222 tysięcy osiągając 12,3% w stosun-

ku do ogółu mieszkańców i przewyższając nieco przeciętną krajową (12,1%). Zorganizowano również 22 czytelnice przy bibliotekach gromadzkich, co umożliwiło bibliotekarzom przemysłowe kierowanie czytelnictwem. W wyniku tego uzyskano się znaczne zwiększenie poczytności literatury popularno-naukowej, przyczyniającej się do pracy oświatowej i samokształceniowej. W miastach powiatowych i w Lublinie przy bibliotekach miejskich zostały rozbudowane oddziały dla dzieci. Z roku na rok podnosi się również poziom kadry bibliotekarzy, którzy uzupełniają swe kwalifikacje na kursach ogólnych i specjalistycznych, organizowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, oraz na seminariach i kursach prowadzonych przez dział instrukcyjno-metodyczny WIMBP i działający przy bibliotece Ośrodek Konsultacyjny Państwowego Korespondencyjnego Kursu Bibliotekarskiego.

Działalność placówek kulturalno-oświatowych nasila się w kierunku prac oświatowych. Zwiększyło się zainteresowanie wiedzą praktyczną. Biblioteki i domy kultury prowadzą popularyzację różnych dziedzin wiedzy w ramach Ogólnopolskiego Konkursu „Wiedza pomaga w życiu”, oraz wojewódzkiego konkursu „Technika w życiu codziennym”, do którego poza wymienionymi placówkami kulturalno-oświatowymi przystąpiło także wiele organizacji społecznych, jak TWP, LPZ, ZMW, ZMS, ZHP.

Konkurs ten spełnia nie tylko ważną rolę w popularyzacji wiedzy, w upowszechnieniu czytelnictwa, lecz stanowi również platformę porozumienia i współpracy między placówkami państwowymi a instytucjami i organizacjami społecznymi — w podnoszeniu ogólnej kultury społeczeństwa.

W związku z realizacją konkursu przy domach kultury pracuje wiele kółek zainteresowań: radioamatorzy, fotoamatorzy, kółka techniczne, uczestnicy kursów motoryzacji, mechanizacji, kluby filmowe itp.

Bardzo korzystnym zjawiskiem jest wzmocnienie amatorskiego ruchu artystycznego, którego działalność skupiała się w przeszło 600 zespołach artystycznych, teatralnych, chóralskich i instrumentalnych.

W ogólnopolskich konkursach artystycznych Lubelszczyzna uzyskała dobre wyniki: I miejsce w konkursie recytatorskim, I miejsce za zorganizowanie ciekawej imprezy „Najpiękniejszy dzień mojego miasta” (Puławy), „Najpiękniejszy dzień mojej wsi”

Guciów w powiecie zamojskim, wyznaczenie — Zakładowy Dom Kultury w Świdniku.

W ruchu amatorskim na szerególną wzmiankę zasługuje Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej pod kierownictwem W. Kaniorowej, który zdobył uznanie nie tylko w Polsce, ale i za granicą: w 1960 r. — tournée po Francji i w okręgu brzeskim (ZSRR).

W r. 1960 dokonano wymiany kulturalnej z trzema okręgami republik radzieckich — Luck, Brześć, Lwów. W wymianie uczestniczyły grupy działaczy kulturalnych oraz zespoły artystyczne zawodowe i amatorskie.

Na terenie województwa lubelskiego istniało już w 1960 r. 7 szkół artystycznych, 3 licea plastyczne, 4 szkoły muzyczne, 3 państwowe ogniska muzyczne i około 30 społecznych ognisk muzycznych, z czego 11 powstało w ub. roku, co wskazuje na znaczny wzrost zainteresowania społeczeństwa w tej dziedzinie. W ub. roku uzupełniono i zmodernizowano wyposażenie warsztatów i pracowni szkolnych. Nasilono pracę w Okręgowym Ośrodku Metodycznym w kierunku podnoszenia kwalifikacji nauczycieli oraz wypracowania lepszych, skuteczniejszych metod pracy. Poza ogólnym uzyskaniem lepszych wyników nauczania, szkoły artystyczne mogą się poszczycić niezwykle utalentowanymi uczniami, zwłaszcza Państwowe Liceum Muzyczne, którego absolwenci z łatwością przechodzą na dalsze studia do wyższych szkół muzycznych i z dużym powodzeniem biorą udział w konkursach ogólnopolskich.

Liczba muzeów wynosi obecnie 8. Prowadzą one żywą działalność oświatową i wydawniczą. Utrzymują one ścisłą współpracę ze społecznym ruchem regionalnym.

Jednym z zasadniczych elementów polityki kulturalnej jest uznanie społecznego ruchu kulturalno-oświatowego i jego konstruktywnej roli w dokonywaniu przeobrażeń zachodzących w życiu społecznym, politycznym i ekonomicznym.

Na terenie województwa lubelskiego działa 14 stowarzyszeń regionalnych, 20 oddziałów stowarzyszeń i towarzystw ogólnopolskich oraz 19 klubów.

Do najaktywniejszych z nich należy **Tow. Przyjaciół Ziemi Łukowskiej**. Prowadzi ono ciekawą i bardzo pożyteczną akcję odczytową na tematy historyczne, kulturalne i gospodarcze, organizuje wystawy, sesje naukowe, wycieczki turystyczno-krajoznawcze. Zamieniało pracę naukową — monografię Ziemi Łukowskiej. Z inicjatywy Towarzystwa zostało w Łukowie otwarte Muzeum Regionalne. Podobnymi osiągnięciami może się poszczycić **Towarzystwo Lubartowskie i Krasnostawskie**.

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej w swojej pracy nawiązuje do bogatych tradycji wydawniczych okresu międzywojennego wydając obecnie „Głos Ziemi Chełmskiej” oraz **Jednodniówkę Chełmską**. Prowadzi również prace badawcze dotyczące historii regionu chełmskiego. W bieżącym roku powstało również **Towarzystwo Miłośników Ziemi Puławskiej**.

Z aktywniejszych społecznych towarzystw artystycznych należy wymienić wspomniany już zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, **Towarzystwo Śpiewacze „Echo”**, **Chór Ziemi Podlaskiej**, zorganizowany przy PSS w Białej Podlaskiej.

Jednym z objawów wzmoczonej inicjatywy społecznej, wspartej przez władze państwowe i placówki kulturalne, jest tzw. „eksperyment lubartowski” — jeden z czterech eksperymentów powiatowych w skali ogólnokrajowej.

W realizacji hasła „Szkoła — ośrodkiem życia kulturalno-oświatowego wsi” powstało 50 ośrodków wokół których skoncentrowały się wszystkie wysiłki pracowników i działaczy kulturalno-oświatowych. Fundusz na wyposażenie ośrodków przeznaczyło Ministerstwo Kultury, PWRN, Wojewódzka i Powiatowe Komisje Koordynacyjne. W okresie zimowym i wiosennym prowadzono różnorodne formy pracy oświatowej i artystycznej: 17 uniwersytetów powszechnych, 11 kursów kroju i szycia, 16 kursów gospodarstwa domowego, 11 szkół zdrowia, kursy motorowe i dla traktorzystów i wiele innych. Przy każdym ośrodku istnieje przynajmniej jeden zespół artystyczny (przeważnie teatralny). **Eksperyment podjęty samorzutnie i z wielkim zapalem, również powiaty chełmski i łukowski, uzyskują poważne wyniki.**

W zakresie inwestycji zabezpieczono budowę domu kultury w Janowie Lubelskim, rozpoczęto budowę radiostacji w Lublinie oraz ośrodka telewizyjnego w Bożych Darach,

Interwiew w tonacji h-moll

mówi

ANDRZEJ CWOJDZIŃSKI
dyrektor i dyrygent
Filharmonii Lubelskiej

CIESZE się bardzo, że „Kamena” interesuje się losem lubelskiej muzyki. Dała już dowód tego zamieszczać kilkakrotnie „Listy muzyczne” dra Z. Wielickiego. Będę mówić tym chętniej, że najbliższe plany i zamierzenia podległej mi placówki są — według mnie oczywiście — nader interesujące. Proszę wybaczyć subiektywizm, ale jakże opiekun może mówić o swym ukochanym podopiecznym. Zwłaszcza, że obchodzę mały jubileusz: pięćdziesiąt lat na stanowisku „szefa”.

Rewelacją nazwać to trudno, ale jedną z najciekawszych form naszej (pozarepertuarowej) o repertuarze trochę później) działalności Filharmonii jest patronat muzyczny, który objęliśmy nad FSC. Jak do tego doszło? Po powrocie z urlopu przeczytałem w lubelskiej prasie notatkę, w której rada zakładowa FSC zalała się, iż za zorganizowaną przez siebie naradę przedstawicieli instytucji kulturalnych z kierownictwem fabryki nikt się nie zjawiał. Zadzwońmy do FSC, potem nastąpiło spotkanie, no i tak się zaczęło.

(Dokończenie na str. 14)

liceum technik plastycznych w Nałęczowie oraz kontynuowano budowę domów kultury w Belżycach, Bychawie, Ostrowie Lubelskim i Tomaszowie. W ramach odbudowy zabytków przystosowanych dla potrzeb placówek k. o. prowadzono prace wykonawcze obiektów zabytkowych: m. in. bożnice w Modliborzycach i Łęcznej (dla biblioteki i świetlicy), w Szczepieszynie (ognisko muzyczne i biblioteka). Poza tym prowadzono prace przy odbudowie dworu zabytkowego w Romanowie z przeznaczeniem na Muzeum biograficzne J. I. Kraszewskiego. Wykonano również kaplicę zabytkową na Zamku oraz pałac w Lubartowie, Radzyniu i Koźłowie.

W związku z pełniejszym rozwojem życia kulturalnego powstała konieczność przekształcenia charakteru i kierunku czasopisma „Kamena” ze ściśle literackiego na społeczno-kulturalny.

Reorganizacji uległa Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, przekształcona obecnie w państwowe **Wydawnictwo Lubelskie**. Staraniem tego Wydawnictwa ukazało się już wiele prac naukowych i publicystycznych związanych z Lubelszczyzną.

NIE ulega wątpliwości, że wykonanie tych zadań wobec narastających potrzeb i przy stosowaniu zasady decentralizacji wymaga dużego wysiłku ze strony aparatu administracyjnego na szczeblu wojewódzkim oraz należytego przygotowania jednostek terenowych do przejęcia zadań im przekazywanych.

Dotychczasowe osiągnięcia są pozycją wyjściową do dalszych planów i zamierzeń, które będą się koncentrowały na następujących zagadnieniach:

- Dalsza rozbudowa i doskonalenie bazy materiałowej (obiekty i należyte ich wyposażenie).
- Dobór i doszkalanie wykwalifikowanej kadry dla wszystkich placówek: bibliotek, kin, świetlic, domów kultury i poradni k. o.
- Wprowadzenie nowych form pracy kulturalno-oświatowej.
- Ustalenie programu działalności kulturalnej właściwego dla danych środowisk, zaspokajającego potrzeby kulturalne i oświatowe.
- Nasilenie akcji we wsiach, osiedlach i małych miasteczkach.
- Estetyzacja życia.
- Aktywizacja środowisk twórczych i towarzystw regionalnych, udzielanie im pomocy.
- Współdziałanie ze środowiskiem naukowym.

Rzecz jasna, że realizacja tych zadań będzie wymagać właściwego skoncentrowania środków w planach działalności administracyjnej i społecznej.

Edward Nadulski

A zaczęło się tak...

(Dokończenie ze str. 1)

DO Lublina weszliśmy wieczorem. Ulice zaległy tłumy, porządku pilnowała nieoczekiwanie jakaś władza z białoczerwonymi opaskami na rękawach. Grała orkiestra wojskowa, ludzie całowali się z żołnierzami, żołnierze i oficerowie oddawali te oznaki radości specjalnie kiedy okazywane były przez młode i urodliwe lublinianki. Na ratuszu powiewał sztandar. Okna i balkony pełne były roześmianych twarzy i witających rąk. Wieczór zapadał szybko, szybko kończył się dzień wypełniony nieprzerwaną radością. Rozmieszciliśmy się na kwatery...

NAPŁYWALI do Lublina żołnierze, działacze, ocaleni więźniowie z Majdanka, partyzanci i wszyscy, kto chciał pracować albo przynajmniej „zobaczyć jak to wygląda”. Otwierały się sklepy, ruszały pierwsze warsztaty. Kleiło się władzę, zaczęły pracować urzędy, szukano ludzi do pracy, żegnano umarłych i zakatowanych. Każdy dzień przynosił sytuację bez wyjścia, ale to wyjście się znachodziło i powoli rósł fundament pod ruszowanie państwa.

Ulica była dziwaczna, różnorodna; charakterystyczna dla owych pierwszych dni, niepowtarzalna. Chodzili po niej często samowolnicy stróże spokoju, których w każdym razie lepiej było słuchać. Chodzili eleganccy w sztylpach, wyskokich butach i długich do kolan marynarkach z portfelami napchanymi walutą. Partyzanci uzbrojeni po zęby, z granatem w każdej kieszeni, automatem na plecach i kilkoma rewolwerami u pasa. Nowo mianowani urzędnicy i kierownicy poszczególnych urzędów, niebardzo wiedzący, od czego zacząć robotę. Kolorowe kobiety już obsiadły stołki po Rawiarniach, czekały „co z tego wszystkiego wyniknie”.

A jednak wynikło i każdy dzień niósł nowe doświadczenia, błędy, większe od nich zwycięstwa. Rysował się kierunek przyszłej drogi państwa.

Fragment wspomnienia **Zofii Bystrzyckiej**
(z wydawnictwa zbiorowego „W stolicznym Lublinie”
pod redakcją Marii Bechczy-Budnickiej — Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza)



BOLESNA STRATA

Umarł Ernest Hemingway. Umarł wielki pisarz i człowiek, który miał przyjaciół na całym świecie. Jakże godnie pożegnać Pisarza, pożegnać Mądrego Przyjaciela, niż Jego własnymi słowami:

„Przy drodze, w chacie stary rybak spał znowu. Spał wciąż, a chłopak siedział obok i wpatrywał się w niego. Staremu śniły się lwy.”

Spij spokojnie, Stary Człowieku. Gdy chłopak wstanie, by zapolować na lwy, Ty będziesz z nim.

MAJDANEK

TADEUSZ GARCZYŃSKI

Zamieszczamy na tym miejscu fragmenty wspomnień, które ukazały się nakładem Lubelskiego Wydawnictwa. Autorem ich jest dziennikarz warszawski, były więzień Pawiaka, Majdanka, Gross Rosen i Litomierzyc.

(Red.)

JEDNEGO dnia w czasie przerwy południowej zjawił się u mnie Maliński, dostarczył mi małą paczkę i powiedział, że żona moja*) przyjechała i po południu będzie na drodze koło wsi Dziesiąta. Akurat czulem się fatalnie, termometr wskazywał 40° gorączki. Chyba przechodziłem tyfus, niegroźny po szczepieniu, ale zawsze gorączka. Tak czy inaczej trzeba iść. Nigdy nie wychodziłem z pola na komando, więc denierwowałem się. Przy pomocy Szreibszuby zamieniłem się z jednym z kolegów, on został w obozie, a ja pomaszzerowałem z jego komandem do Gärtneri.

Komando składało się z setki bez mała więźniów, toteż nie zwracało szczególnej uwagi. Miałem tam sporo znajomych. Szedł Maliński, Dunin Łabędzki, Kozłowski, Maramarosz, Rygiel, Kiehl-Niskiewicz... Przeszliśmy przez bramę, prosto przed siebie, przez płytki wawóz i wnet zaczął się ogród na pochyłości nachylonej lekko w stronę obozu.

Maliński doprowadził mnie do jakiegoś dołu i poradził, abym udawał, że kopię, po czym zniknął.

Rozejrzałem się. Za mną rozpościerał się ogród, robił wrażenie dużego, pośrodku stała szopka z narzędziami. Ogród, jak to pośrodku lata, wybujały, zarosnięty na miedzach chwastami. Około czterdziestu kroków przede mną biegła droga, odcinająca go od zabudowań wiejskich. Wzdłuż drogi, dość rzadko, stali wartownicy, ale niestety posterunek wypadł tuż koło mojego stanowiska. W nurt opustoszałej drogi wpadały uliczki i ścieżki wiejskie. Spoglądałem w tamtą stronę.

Niedługo czekałem, spoza plotków wychyliła się postać mej żony. Trzymała paczuszkę w rękach, chciała przejść na drugą stronę drogi, lecz powstrzymał ją gest wartownika.

— Tatusiu! — zawołała głosem narzmiąłym od łez.

Wyprostowałem się. Wartownik obrócił się w moją stronę. W tym momencie, spoza linii olbrzymich łopionów ukazał się kapo Lortsch. Zbliżył się do mnie.

— Was machst du hier?

— Erste Mahl nach meiner Verhaftung sehe ich meine Frau.

— Ach so! Sei aber vorsichtig. Der Essmann ist böse.

— Danke.

Po tej krótkiej wymianie zdań wzięłem się do kopania. Trzeba było symulować robotę i odwrócić uwagę wartownika. Zosia domyśliła się, że chwila jest zła, oparta o sztachety chłopięcej zagrody czekała. Korzystając z nieuwagi dozorcę dałem jej ostrzegawczy sygnał ręką. Zrozumiała. Coś jednak chciała zrobić. Za nią ukazał się wyrostek, chwile pogadali i znikli. Nie na długo, po kilku minutach znowu się ukazał. Stali spokoj-

nie. Essmanowi śnać zdrtwiała nogi, zaczął się przechadzać. Na to tylko czekali, gdy odwrócił się w stronę przeciwną, spory kamień zatoczył luk w powietrzu i upadł opodal mej jamy. Essman usłyszał, drgnął i znowu obrócił się podejrzliwie. Kopalem. Nerwy miałem napięte do ostateczności, znałem historię zastrzelenia przez strażnika matki, która synowi chciała dostarczyć paczkę. Znowu mijaly minuty, kwadranse, słońce chyliło się ku zachodowi, lada chwila mógł paść sygnał powrotu. W dogodnej chwili łopata przysunąłem do siebie kamień, do niego przywiązana była kartka. Przeczytałem. Kilka słów tylko, lecz każde zapłacone ryzykiem uwięzienia czy rany. Znowu skinąłem ostrzegawczo.

Ale Zosi to nie wystarczyło, chciała oddać mi paczkę. Coś tam mówiła do essmana. Milczał. Zdecydowanym ruchem przeszła przez drogę i na jej skraj położyła paczkę. Skinął głową. Wróciła na swoje miejsce. Jak mogłem, dawałem jej znaki, aby zaprzestała tych manewrów, bałem się o nią. Mimo to nie traciła nadziei, iż paczka do mnie dotrze. Coś tam raz i drugi powiedziała i nagle Niemiec złapał za karabin. Ukryty chłopak pociągnął ją za rękaw i znikł w opłotkach. Jeszcze tylko ujrzałem wznieścioną do góry rękę.

Prawie w tej samej chwili odezwał się sygnał powrotu, przerzuciłem łopatę przez ramię i kompletnie wyczerpany zawróciłem.

W powrotnym drodze zbliżył się do mnie Lortsch.

— Hab gesehen. Noch glücklichen geendet.

Wieczorem essman chwalił sobie zapewne zawartość paczki, a ja leżałem w gorączce. Cieszyłem się z widzenia, byłem wdzięczny za poświęcenie, ale przeżyłem więcej niż własne niebezpieczeństwo.

Kilka dni później nastąpiła zmiana na stanowisku Lagerältestera IV pola — ustąpił Iwan Bielski, następcą został Lipiński.

Niech nikogo nie myli dźwięk nazwiska, Lipiński pochodził z Hamburga, uważał się za stuprocentowego Niemca. Typ nieprzeciętny. Zacytował kiedyś fragment z „Dzwonu” Schillera, lecz utknął. Zakończyłem za niego, co mu zaimponowało i odtąd zaczął mnie traktować z pewną dozą poufalości. Wbrew wszystkim obozowym obyczajom uwielbiał opowiadać o sobie. Chwalił się, że stał na ringu jako bokser ciężkiej wagi i zwyciężył, chociaż poprzedniego dnia próbowano go spoić. Cytował fragmenty ról teatralnych, ponieważ był aktorem. Nade wszystko chętnie się tym, że z powodzeniem dokonał licznych oszustw i był sądzony jednocześnie za kilkadziesiąt sprawek.

— Kannst du verstehen — rozpowiadał — proces trwał dwa dni, przesłuchano setkę świadków, a moje fotografie ukazały się w całej prasie.

Wyraźnie był dumny.

Stanowisko kapo uznał za hołd sobie należny. W obecności essmanów starał się być bezwzględny, lecz gdy ich nie było, odnosił się do więźniów z dobrośliwym lekceważeniem, byle tylko dostarczali mu jedzenia i wódki.

Na ten okres przypadła sensacyjna ucieczka. Pierwsza bodaj dotyczyła nas pośrednio. Władysław Król i kilku innych jego towarzyszy, przeniesieni z naszego pola do więzienia w Lublinie, potrafił stamtąd uciec.

Druga miała przebieg dziwny. Silberspitz zapytał mnie w przerwie obiadowej, czy mogę mu pożyczyć buciki. Skórzane obuwie niełatwo dostawało się, toteż pożyczę z trudem

zdobyte buty bardzo niechętnie, zastzegając zwrot wieczorem. Dał mi w zamian swoje, istotnie trochę twarde, źle rozchodzone.

Wieczorem stanęliśmy do apelu jak zwykle, lecz apel się nie zgadzał. Wszystkie komanda wróciły, ale kilku więźniów brakowało. Uderzono na alarm, zarządzono poszukiwania. Nie było Silberspitz i jego kilku kolegów. Moje buciki powędrowały na wolność. Apel trwał długo. Już z innych pól więźniowie wrócili do bloków, już noc zapadła, kawa w kotłach wystygła, a my staliśmy.

Essmani poszli z psami przez pola, słychać było gdzieś daleko nawoływania, wszystko bez rezultatu. Noc zapadła, gdy wróciliśmy do bloków. Było jeszcze nie najgorzej, bo zdarzało się i całonocne wystawanie.

Należy zanotować jeszcze dwie ucieczki. W pierwszej wzięła udział trójka: Dąbek, Maliński i Osiniński. Ci mieli całą noc przed sobą. Pełna brawury ucieczka wzbudziła podziw nawet wśród Niemców. Jeszcze dziś żyją jej uczestnicy, oni mogą opowiedzieć szczegóły, znane mi tylko z plotki. Ostatni uciekł Piątkowski. Dzielny chłopak przemknął się przez druty i poszedł w lasy, gdzie rychło stworzył dużą grupę partyzancką.

Niewątpliwie bodźcem tych ucieczek stały się wiadomości z frontu. Wiedzieliśmy o niepowodzeniach niemieckich na wschodzie, z przejęciem słuchaliśmy wiadomości o zbliżaniu się armii radzieckiej. Z drugiej strony...

Kapo Lipiński, ze zmarszczonymi brwiami czytał list.

— Gute Nachrichten? — zapytałem.

— Schreckliche — i zaczął mi opowiadać o ogromnych nalotach na okolicę Hamburga, ilu ludzi zginęło, jakim cudem jego rodzina ocalała.

Słuchałem — później zaś powtórzy-

łem mym przyjaciółom. To był dobry dzień.

„Bombardowanie dywanowe” po raz pierwszy usłyszeliśmy to określenie.

LATO dobiegało końca. W tym czasie liczba Żydów w obozie na Majdanku była stosunkowo niewielka, ale Majdanek obejmował też swoim zasięgiem inne miejscowości: Poniatowa, Bliżyn, Budzyń, tam podobno przywzono wyłącznie Żydów.

Stamtąd też w ostatnich dniach października nadeszły liczne transporty do nas. Nagle zaroilo się na IV polu, nigdy nie było na nim tak ciasno. W Schreibstuby powstało zamieszanie, nie lada trud, bo spisać zdwojoną ilość komand. Staraliśmy się dowiedzieć, co to znaczy, lecz nikt niczego nie wiedział. Nawet kapo pozostającym w dobrych stosunkach z wartownikami nie udało się.

Zydi kopali rowy... i już przebakiwano, że budują okopy i schrony lotnicze, bo front się zbliża.

Aż nadszedł dzień 3 listopada. Wszystkim Żydom kazano wyjść przez bramę — pochód otwierała nieliczna grupka pracowników Schreibstuby. Po wyjściu skręcili w lewo idąc w kierunku VI pola.

Dokąd? Nie wiedzieliśmy. Tęcza dnia żadne komando nie opuściło pola. Więziom kazano wejść do bloków.

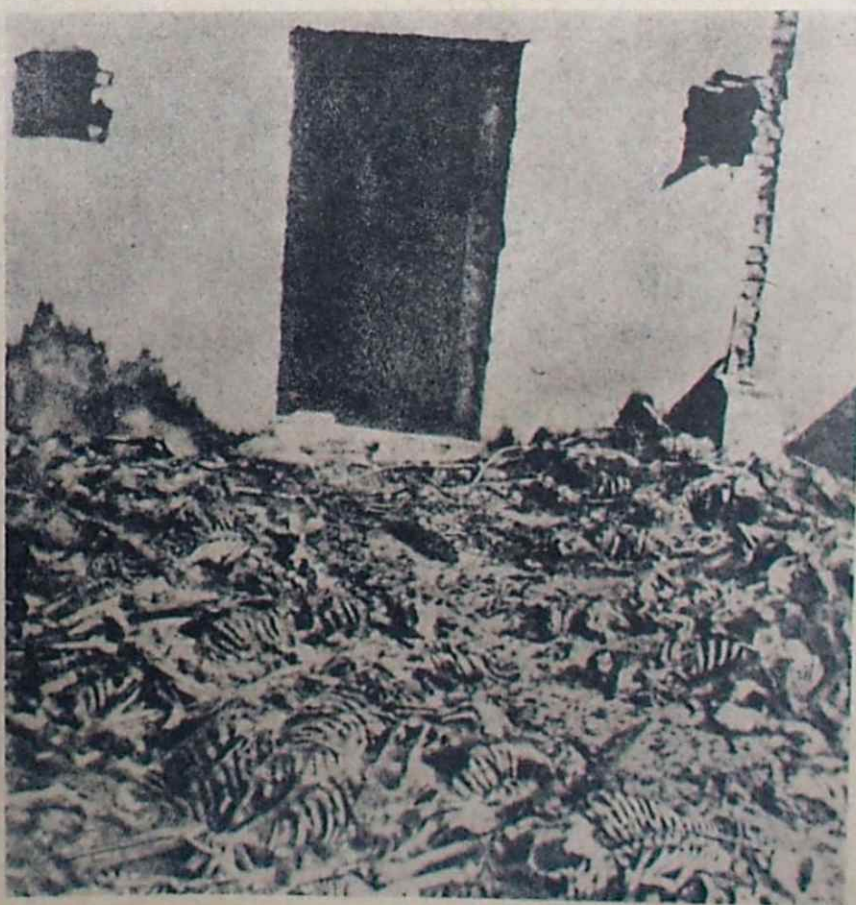
Usłyszeliśmy strzały, cienkie ściany nie tłumily głosów pałby. Co się dzieje? Nie od razu doszły nas wiadomości przeczuwałyśmy tylko, iż dokonuje się nowa zbrodnia. Mijały godziny i pomalu zaczęły docierać wiadomości. Hitlerowcy mordowali 18.400 Żydów. Niektórzy usiłowali ukryć się, wytopili ich. Jak opowiadał później Lipiński, Ankerman, fotoreporter w cywilu, a prowadzący statystykę komand w obozie, znalazł gdzieś nóż i rzucił się na essmana. Zginął. Nawet Niemcy mówili z szacunkiem o tym bohaterskim porywie.

Potworna zbrodnia wstrząsnęła wszystkimi. Strażnicy i kapowie chodzili ponurzy, więźniowie rozmawiali szepem.

Krematorium zaczęło pracować. Wiele, bardzo wiele dni płynęły czarne kłęby dymu z komina, snuły się nad ziemią, dusząc smrodliwym czadem palonych ciał. Zakopanych prowilorycznie, wykopywano i przewożono do pieca. Krematorium nie mogło podlać zadaniu zwłoki palono więc na stosach. Oprawcy pragnęli zniszczyć ślady... a świadkowie? Ileż razy zaprzeczano oczywistej prawdzie podczas tej wojny.

STOSUNKI w kancelarii pola sulożyły się znośnie. Po wstępnym okresie pracy nie było wiele, mieliśmy sporo czasu dla siebie. Wygoda mojego stanowiska polegała dodatkowo na tym, że zawsze miałem pretekst, by pójść do tego czy innego bloku, nawet na inne pole. Może ostrożność moją posuwałem zbyt daleko, koledy moi wędrowali po obozie swobodnie. Istniały tylko niektóre momenty, kiedy zakaz poruszania się był surowo przestrzegany, do nich należało przybycie transportu. Nawet

(Dokończenie na str. 4)



*) Wybitna reżyserka znana pod pseudonimem Zofii Modrzewskiej

GDZIE JEST LITERA „B“?

JEZRY DOSTATNI

NIE pamiętam już, kto pierwszy przed wojną użył słynnego do dziś określenia Polska A i Polska B. Wydaje mi się jednak, że autor — mówiąc językiem Andrzejskiego — był wielkim zadufkiem. Uważał bowiem dawną zachodnią i środkową część naszego kraju niemal za pepkę świata, nazywając ten obszar Polską A. Bo gdyby się nieco bardziej uważnie rozejrzył po świecie, gdyby popatrzył na różne statystyki, gdyby uczciwie porównał nasz ówczesny potencjał gospodarczy z innymi krajami — musiałby przecież zacząć od jednej z bardzo dalekich liter alfabety. Do określenia Lubelszczyzny postawiłby mu chyba tylko litery WZ czy X. Mimo tej zasadniczej nieuczciwości autora trzymamy się jednak owego przedwojennego podziału, gdyż przyjął się on zbyt powszechnie i zyskał swoją tragiczną wymowę.

A więc byliśmy częścią owego Polski B. Z perspektywy 22 lat sprawa jest jeszcze bardziej jasna. Ale jak jest dzisiaj? Czy stanowiąmy część, a może nawet całość owego Polski B? Jeżeli tak, to czy mamy prawo jako państwo chwalić się naszymi osiągnięciami, mówić o budowie socjalizmu? A jeżeli nie — to co się w sposób zasadniczy zmieniło? Sądzę, że lipcowe święto usprawiedliwia zajęcie się tym tematem, jak również przytoczenie kilku cyfr, które w ostatecznej wymowie tworzą podstawę do wyrobienia sobie takiego czy innego zdania.

Jeżeli chodzi o rolnictwo, można z całą pewnością twierdzić, że przestaliśmy być Polską B. Po województwie poznańskim jesteśmy drugim największym w kraju producentem ziemiopłodów. Dajemy ponad 10 proc. tego, co produkuje cała Polska. Odgrywamy więc w rolnictwie większą rolę, niż w przemyśle województwo wrocławskie razem z miastem Wrocławiem. To chyba posiada dostateczną wymowę.

Mógłby ktoś powiedzieć, że dzieje się tak dlatego, ponieważ po warszawskim i poznańskim jesteśmy trzecim co do wielkości województwem. Oczywiście to ma swoje znaczenie. Ale w takim razie proszę liczyć inaczej — i tak wyjdzie na moje. Może najpierw zobaczymy różnicę w porównaniu z okresem przedwojennym. Otóż przeciętna zbiorów za cztery ostatnie lata przedwojenne wynosiła w naszym województwie dla pszenicy 12,5 q z hektara, obecnie 18,3 q. Plony żyta w tym samym czasie wzrosły z 11,4 q do 15,4 q, a buraka cukrowego ze 187 q do 238 q z ha. Tylko zbiory ziemniaka prawie się nie zmieniły: 136 i 137 q. Nie nudząc czytelnika dalszymi wyliczeniami, trzeba w rezultacie stwierdzić, że gdy chodzi o wysokość plonów buraka cukrowego, to zajmujemy w kraju pierwsze miejsce, w plonach ziemniaków piąte, a w zbóżach podstawowych szóste. A przecież nie jest tajemnicą, że mamy ziemię lepszą niż poznańskie czy bydgoskie, że brak nam jeszcze kultury rolnej, że nie wszyscy chłopcy stosują w dostatecznych ilościach nawozy sztuczne, że brak nam jeszcze dostatecznej ilości nowoczesnego, zmechanizowanego sprzętu, że gospodarka jest zbyt rozdrobniona itd. Jeżeli mimo tych wszystkich braków znajdziemy już teraz jedno z pierwszych miejsc w kraju, to mamy pełne szanse na to, aby w okresie najdalej 10 lat zdobyć pierwsze. Czy te olbrzymie szanse potrafimy w pełni wykorzystać — to inna sprawa.

Te fakty określają w sposób jednoznaczny naszą przyszłość. Jesteśmy i pozostaniemy województwem przede wszystkim rolniczym. Nie zawsze rozumieliśmy to w przeszłości. Przed 10 laty mówiliśmy głośno o przekształceniu się w województwo rolniczo-przemysłowe, a marzyliśmy o przemysłowo-rolniczym. Zaczęliśmy wtedy budować wiele obiektów, którymi zresztą chlubił się do dzisiaj. Faktem jest, że budowy czy rozbudowy FSC, Świdnika, Kraśnika, Poniatowej lub Rejowca spowodowały poważne i trwałe zmiany w ekonomice naszego województwa. Ale faktem jest również i to, że forsowna budowa tych czy innych obiektów spowodowała poważne perturbacje w wielu dziedzinach życia. Chociażby niezwykle gwałtowną urbanizację, której skutki odczuwamy codziennie jako dotkliwy

(Dokończenie ze str. 3)

my, pracownicy Schreibstuby, nie mieliśmy prawa wyjść poza drzwi. Z wielu takich transportów jeden zapamiętałem dokładnie, widziałem go z bliska. Wichura rozpełtała się okrutna, długotrwały deszcz rozkisił plac apelowy, każdy kulił się w sobie i marzył o jakimś cichym kącie, gdy padł „Zugang”. Wyjrzelśmy przez okno.

Część szła pieszo, lecz ciężko chorych przywieziono wozami. Od wartowni do dwóch bloków, 4 i 5, ciągnął tłum widm. Zataczali się, padali, wlekli na rękach. Jeden przystanął, jak by stracił poczucie kierunku, inny chciał się oprzeć o kolegę, lecz nie zdążył i padł w błoto, ranny podskakiwał, na jednej nodze, lecz ślizgał się i okaleczał kikut raz po raz rozbryzgiwał kałuże. Wszyscy mieli twarze jednolicie blade, z zielonkawym odcieniem, a w ich wyrazie sygnat cierpienia.

Ile tam było... 150—200 kroków, lecz szli, szli, szli bez końca. Mijały godziny, nie mogli dotrzeć do kresu męki, aż chrypli głosy zniecierpliwionych esmanów.

Przysłaliśmy w milczeniu.

— No, panowie — przerwał ciszę Nukowski — ładną będziemy mieć robotę.

Wzdrygnęliśmy się, mimo wszystko nie nauczyliśmy się myśleć tylko o sobie.

Obok mnie stał kapo Kauer, zielony kapo.

— Patrz — szeptał mi w ucho po niemiecku — to są ludzie. Czy ktoś na świecie może sobie wyobrazić takie piekło? Dwudziesty wiek! Kultura europejska! Zaden Goya nie zdoła tego uwiecznić, żaden Remarque opowiedzieć. Nam kiedyś nie wierzą.

Wreszcie tłum wszączył się przez bramy do bloków, które się zawaryły. Przyniesiono nam spisy transportu i otrzymaliśmy polecenie sporządzenia wykazu.

Znałem już obóz, przeszedłem genhennę 6 bloku na III polu, a jednak to, co ujrzałem oszłomiło mnie. Tuż za progiem uderzała zwarta masa nie-samowitego zaduchu. Nie było czym oddychać, miejsca brakło dla stojących, a większość musiała leżeć. Wielu nieprzytomnych bredziło.

Ale spis, trzeba robić. Oznaczyliśmy wolną przestrzeń i zaczęliśmy wywoływać nazwiska. Zdrowsi zgłosili się sami. Ustawiliśmy ich oddzielnie, posunęliśmy się w głąb.

Daremnie wzywaliśmy następnych, nikt się nie ruszał. Wtedy powstała konieczność podchodzenia do każdego z osobna. Tak postąpiliśmy.

Przy spisywaniu ujawniła się masa trudności. Oto wśród więźniów było sporo Francuzów, Belgów i Jugosłowian, a wśród nas tylko dwóch znalo język właściwy.

— Co on mówi? Chodź, Garczyński!

— wołał zniecierpliwiony kolega.

Podchodziłem, nachylałem ucho.

— Lucien, Lucien Hoffman, Nice — dolatywał mnie szept nędzarza, właściciela hoteliku w Nicei.

Przypominam sobie inne nazwisko, „Durand” z Paryża.

Po kilku godzinach skończyliśmy ów spis. Bardzo wielu z oficjalnej listy zabrakło, gdzieś skonało na drodze, może w wagonie — rachunek ofi-

brak mieszkań. Prawdą jest także i to, że ten czy inny obiekt nie jest najlepiej zlokalizowany, że koszty budowy były nieraz zbyt wysokie.

Dzisiaj te wszystkie błędy naprawiamy nie bez trudów i kłopotów. Ale jeżeli w konsekwencji ktoś twierdzi, że tych fabryk nie trzeba było w ogóle budować, że np. Bodaczów jest niepotrzebny, bo ma i będzie miał kłopoty surowcowe, że wciąż nie możemy się zdecydować na ostateczny profil produkcji FSC — to nie ma racji. Twierdził stanowczo, że gdybyśmy tych fabryk u nas nie budowali, to bezapelacyjnie byłibyśmy do dzisiaj ową Polską B.

Pod uwagę bowiem należy wziąć nie tylko czynniki ekonomiczne. Wszystkie nasze fabryki w zasadzie budował chłop, klasa robotnicza była stosunkowo nieliczna. Przed wojną chłop, nie mogąc na zewnątrz znaleźć żadnego dodatkowego zatrudnienia, czas wolny od pracy na roli spędzał po prostu na niczym. Chłopskie zagony, dzielone na coraz węższe paski, nie mogły zapewnić utrzymania wciąż liczącym rodzinom. Poza oficjalną statystyką bezrobocia mieliśmy więc na Lubelszczyźnie ok. pół miliona rak do pracy, które nazywano zbędnymi. Po wojnie powiększone reformą rolą chłopskie zagony już znacznie lepiej żywiły i ubierały swoich właścicieli. Ale właśnie na owych budowach rozdził się drugi, dodatkowy i stały zarobek. A równocześnie ów chłop-robotnik

uczynał pewno się zgodził. Wróciliśmy do swej izdebki, zmęczeni fizycznie i psychicznie. Śmierć nie jest straszna, do widoku umierających przywykliśmy, lecz męczarnia bez jakiegokolwiek nadzoru musi wstrząsnąć najbardziej otepiałym sumieniem. Niemcy odwracali oczy. Chyba w tej chwili ucieczki, ukrycia przed własnym społeczeństwem tego obrazu, krył się sens przewiezienia tysiąca umierających z Neue Gamme aż hen daleko na wschód, pod Lublin do Majdanka.

Usiłowaliśmy dopomóc przybyłym. Tak się złożyło, że właśnie wtedy przyszyły jakieś dary od społeczeństwa lubelskiego dla obozu. Wory białego pieczywa, trochę tłuszczu.

Ani jeden głos protestu nie podniósł się, gdy postanowiliśmy rozdzielić je pomiędzy przybyłych. Nawet ci, co nie dostawali paczek, nawet zbrodniczy kapowie — a Niemcy nie wtręcali się do tego, co robimy.

Rozdzielić... wydawało się tak proste. Poszedł Dudek, Kauer i ja, pomocnicy nam dźwigali wory. Gdy weszliśmy w głąb bloku, otoczyła nas ciżba tak ciasnym kołem, iż nie można było poruszyć. Chcieliśmy ustawić jakąś kolejkę, aby nikogo nie skrzywdzić, prosiłiśmy we wszystkich znanych językach, argumentowaliśmy, grozilimy odejściem wraz z cennym ładunkiem — wszystkim daremnie. A kiedy w chwili względnego spokoju jeden worek został rozwiązany, rzucił się nań tłum głodomorów, obalając stojących wokół i wyrwijąc co się dało...

MAJDANEK

TYMCZASEM nadchodziła wiosna — jakże odmienna od poprzedniej. Rok 1943 zaczynał się pod znakiem troski i przynębienia, rok 1944 zmienił się wiarą w zwycięstwo. Ludek się prostowali, znikła nuta bezgrzesznej rezygnacji. W obozie zaczęły się pojawiać gazety, to nie ze niemieckich, faktów nie mogły ukryć.

MajdANEK raz jeszcze zmienił swoje oblicze, spoważniał, okrzepł w sobie. Awanturnicy, pijacy, spekulanci przysięgli, szumowina spłynęła w zakamarki. Kapowie nie bili. Vorarbeiter nie wykrzykiwali przekleństw ryśzokowych, esmani oszłomiłi, jakby stracili wiarę w swoje powołanie.

Więcej myślano nad tym, co będzie, aniżeli jak przetrwać.

Czuło się zmianę w każdym ruchu, każdym geście, każdym słowie. Obojętne były ich znaczenia, przeobraził się klimat.

I zaczęły się transporty, początkowo nieznaczne, potem coraz liczniejsze. Ewakuacja! Słowo szeptałe cicho stało się przedmiotem głośnych rozważań.

Wreszcie nadszedł ów dzień.

Padło hasło po apelu. Przygotować się do transportu. Otrzymałiśmy listę i moje nazwisko znalazło się na niej, niestety. Wiedzieliśmy, że pojedziemy

gdzieś na zachód — a im dalej od linii frontu, tym dalej od wolności. Tak jak przed rokiem marzono o wyjeździe, obecnie każdy wołał zostać.

Staliśmy długim szeregiem. Pojedynczo podchodziliśmy do stolika, gdzie każdego poddawano szczegółowej rewizji. Zabrano mi ciepły szalik przesznułowany z domu, ale listy udało mi się ocalić. Jakimś cudem nawiązał się od dawna nie widziany Kazio Mliczewski, przyszedł z III pola. — „Mam pewne wiadomości — wasz transport rozbił się. Zobaczącie, Papciu”. — Uśmiechnąłem się tylko, tyle razy już słyszałem, że transport ma być rozbity. Lecz nie było czasu na to, aby wdawać się w dłuższe rozmowy. Już gorąca kąpiel poczęła wszystkich ogarniać. „Vorwärts”, „Przedziej”, „Naprzód”, „Eilen sie sich”!

Pochód ruszył. W ostatniej chwili podbiegł do mnie kapo Teo. Wsunął mi w garść jakąś paczkę ze słowami „od Kaura” — i zniknął.

Wyszliśmy z IV pola. Minęliśmy trzecie, drugie, pierwsze, a następnie znaleźliśmy się na terenie, którego nie znam. Leżały tam rury, cegły, popusute maszyny Baukomando. Tuż za nimi kończył się obóz i zobaczyłem szosę.

Niedaleko do dworca lubelskiego. Nikt nie dźwigał ciężarów, wszyscy byli zdrowi, toteż marsz nie trwał długo. Pociąg już czekał... a wraz z nim niespodzianki. Niemcy nie chcieli ryzykować, oni także słyszeli o partyzantkach. Aby się zabezpieczyć, kazali wszystkim zdjąć drewniak — trudno uciekać na bosaka. Pakowano nas do wagonów towarowych, wbrew przepisom „Vierzig Mann, acht Pferde”, tyle ile się zmieści. Zostaliśmy zepchnięci na kraniec wagonu, odcięci od pustej przestrzeni pośrodku kolejczastym drutem. Dwóch wartowników rozsiadło się w pobliżu wejścia. Przeworności stało się zadość.

W ciasnocie cierpły nogi, siedzieliśmy na podłodze opierając się o siebie wzajemnie, każdy ruch trzeba było uzgodnić z sąsiadami.

O zmroku pociąg ruszył. Od razu rozwinął wielką szybkość. Nie zatrzymywaliśmy się wcale. Monotonnie stuknęły koła, niekiedy zgrzytały na zwrotnicach, silniejsze i częstotliwie wstrząsy sygnalizowały, że przejeżdżamy przez większe stacje.

Gdzie jesteśmy? Którędy nas wiozą? Dokąd?

Po co o tym myśleć? Odwrętywałem ciało i myśli. Nikt nie spał, lecz znużenie szło z nocą. Coraz dalej i dalej.

Gdy nadszedł poranek, drzwi wagonu zostały rozsunięte szeroko, wartownik usiadł tyłem do nas, na skraj wagonu, z nogami na zewnątrz opuszczonymi — już się nie bał.

Słońce świeciło jasno, w jego blasku ujrzeliśmy zalesione wzgórza, dobrze utrzymane kręte szosy, miasteczka schłodne. Ludzie chodzili ulicami, kobiety robiły zakupy w sklepach — a nad sklepami były napisy niemieckie. To już Niemcy.

Lokomotywa sapala głośno, pnać się pod górę, tempo stawało się coraz wolniejsze, wreszcie stanęliśmy.

— Aussteigen!

Spojrzałem, na budynku stacyjnym czerniał napis Gross-Rosen.

Tadeusz Garczyński

uczyl się używania betoniarzki zamiast łopaty do mieszania zaprawy, dzięki elektrycznym wodom uwalniał plecy od dźwigania cegły, uczyl się pracować dźwigami, tokarkami i dziesiątkami innych maszyn. Na wsi pojawiły się coraz liczniejsze motocykle i telewizory. Przed większą młodzieżą stanęły otworem szkoły średnie i wyższe. Pod strzechami znalazł się nie tylko Młkiewicz, zresztą i strzechy zaczęły ustępować przed dachówką i eternitem. Rosła świadomość polityczno-społeczna chłopca, rosło jego poczucie ludzkiej godności, obok potrzeb materialnych zwiększały się jego potrzeby kulturalne. I to było niewątpliwie największym zwycięstwem, dla którego warto było i trzeba było ponieść różne ofiary. Prawda, że te ofiary czy koszty można przeliczyć na złotówki, a wartości owego zwycięstwa nie. Ale w tym równaniu niewiadoma jest znacznie więcej warta od władomej.

A niezależnie od tego ostateczne wyniki materialne są również godne podkreślenia. I to gruba, czerwona linia. O pozycji naszego rolnictwa było już wyżej. A jak z przemysłem? Jesteśmy tutaj Polską B czy nie?

Przed wojną na terenie naszego województwa nie było ani jednej fabryki, którą w dzisiejszym pojęciu moglibyśmy nazwać wielką. Średnich było tylko 19, z czego większość to cukrownie i gorzelnie. Niestety nie udało mi się zdobyć wiarygodnych informacji o

tym, jak wielki był udział Lubelszczyzny w przedwojennej produkcji globalnej naszego kraju (w zakresie przemysłu i rzemiosła). Można szacować, że wynosiło to zaledwie ok. 1 proc. A tymczasem w roku 1959 daliśmy już 2,2 proc. produkcji globalnej Polski, w roku ub. zaś 2,4 proc. Stanowiło to w ostatnim roku, jak łatwo wyliczyć z Rocznika Statystycznego, niemal równo 13 miliardów zł. To już doprawdy niemal oszalamająca cyfra. Ale chyba jeszcze bardziej wymowna jest różnica w procentach.

Tu oczywiście nie możemy porównywać się — jak w rolnictwie — z województwem poznańskim, które w dziedzinie przemysłu jest dwukrotnie silniejsze od nas. Jeszcze słabiej wypadamy w porównaniu z województwem katowickim, chociaż np. warszawskie wyprzedza nas dość nieznacznie, a szczecińskie mimo wielkiego przemysłu stoczniowego pozostaje już w tyle. Ostatecznie wydaje mi się, że do Polski A jeszcze nie dołączyliśmy. Jednak równocześnie przestaliśmy być Polską B. Jesteśmy gdzieś na etapie pośrednim.

Właśnie — jak z perspektywą? Mam przed sobą książeczkę, która zawiera uchwałę Sejmu o planie pięcioletnim na lata 1961—65. Najedną tysiącami cyfr i pozornie suchymi zwrotami ekonomicznymi nie zachęca do czytania. Ale nie żałuję, że ją przeczytałem, że do własnego użytku

(Dokończenie na str. 11)

ZACHWIANY IDEAŁ

MICHAŁ RUDNICKI

Od pierwszego dnia pobytu Boya we Lwowie uczyniono wszystko, aby pisarz nie odczuwał żadnych materialnych kłopotów. Nadarzała się sposobność wykorzystania jego głębokiej wiedzy w zakresie literatury francuskiej. W ten sposób stał się profesorem uniwersytetu. W dziekanacie wydziału filologicznego, w tym czasie, gdy nikt nie zachodził, oświadczył skromnie:

— Proszę zrozumieć, że nigdy nie prowadziłem systematycznych wykładów. I to jeszcze dla studentów. I nawet niesystematycznych wykładów nie lubię. Chętnie wyśmiewam wszelkich pedantów, ale sam jestem strasznie pedantem. Muszę mieć z góry przygotowany tekst wykładu. Przecież nie można mówić o wszystkim, co przyjdzie do głowy...

Trzeba mu było wyjaśnić, że studentów interesują fakty dotyczące pisarzy, epoki i ogólna charakterystyka — wszystko, w czym, tak dobrze orientuje się taki jak on znawca literatury. Kiedy Boy dał się przekonać że w czasie wykładu może prowadzić swobodną rozmowę i że wszyscy mają do niego zaufanie, że „nie święci garniki lepią”, odetchnął z ulgą i zaczął głośno rozmyślać:

— Mówi się, że człowiek nigdy nie wie, z czego może jeść chleb. Porzuciłem praktykę lekarską dla przekładów i publikacji. Tłumaczyłem Francuzów bardziej dla przyjemności niż z obowiązku. Obowiązek zrodził się z mojej pedanterii. Nawet wtedy, kiedy z lenistwa zacząłem polyczyć Balzaka, robiłem to tak systematycznie, jakbym miał przygotowywać się do wykładów. Nie wszyscy tłumacze interesują się twórczością autorów, których tłumaczą, a ja i do literatury zabrałem się tak, jakbym wierzył w rózce, że kiedyś na starość będę wykladał studentom literaturę. Widzę, że i pan od gazety przeszedł do katedry. Każdy nowy zawód ma jedną dobrą stronę — świeżość zmiany. Nikt z nas nie wie, jakie talenty ma ukryte w duszy.

Czy Boy wiedział cośkolwiek o losie różnych polskich pisarzy, wspólnych znajomych, którzy pozostali na terytorium okupowanym przez faszystów?

Boy zasłonił twarz rękoma, aby nie pokazać na niej bolesnego skurczu.

— Nie mogę spokojnie o tym myśleć. Jeszcze bardziej zawzięcie niż w czasie pierwszej wojny pograżam się cały w jakiegokolwiek książce, aby tylko nie mieć przed oczami tych przerażających obrazów. Nikt z nas w tym szlacheckim panoptikum nie wiedział, do czego są zdolni hitlerowcy. Nie wszyscy słuchali tego, co mówili komuniści. Nawet ci panowie, którzy znali kiedyś język rosyjski, nie uważali za potrzebne czytanie radzieckich gazet i radzieckiej literatury. Brak słów i dla oburzenia, i dla wspomnień. Polską inteligencję zadepcą jak karaluchy. I najsmutniejsze, że wielu z tych, co będą umierać, nie zrozumie, że to wi-na i ich, i nas wszystkich razem.

Rozmowa na temat wykładów literatury francuskiej łatwo zesłała na Francję.

— Francja to druga okropna rana. To był nasz najwierniejszy sprzymierzeniec. Wierzyliśmy w nią tak samo ślepo, jak ona wierzyła nam. Nie na próżno miłość nazywamy ślepotą. Czym Francuzi mogli nam pomóc, skoro byli tak jak i my bezsilni? Nie mieli nawet sposobności, aby wykazać bohaterstwo. Minęły czasy kiedy można było dosiąść konia i z szablą w ręce pójść przeciw dziesiątkom wrogów, wybrać sobie pole i godzinę walki, kosa albo siekierą ścinać głowy najeźdźców. Technika, maszyny — i gdzie tu miejsce na odwagę, na siłę fizyczną bohatera?

Ze smutkiem przypominam pisarzo-wi, że nikt w świecie nie liczył na Francję jako na siłę bojową.

— Pod tym względem — mówił Boy — ufaliśmy naszym specjalistom woj-skowym. Geniuszów wśród nich nie było. Gdyby przynajmniej, byli dobrzy szpiedzy albo doświadczeni reporterzy, to mogliby obliczyć, ile Francja ma samolotów, armat i czołgów. Zamiast tłumaczyć klasyków powiniennem był

przekładać aktualne artykuły fachowe, które przypominały, że faszysty w Niemczech przygotowują się do wojny, że z każdego budynku, z każdej przydrożnej karczmy należy zrobić fortecę, nauczyć wszystkich strzelania, na każdym dachu umieścić tyle armat. To jest pod nim mieszkańcy. Widzi pan, w ciągu jednej nocy z pożeracza książek przeliczyłem się w stratego, może w militarystę...

Nigdy nie widziałem w nim takiego oburzenia i gniewu. Nalał sobie szklanek świeżej wody i ciągnął dalej: — Wstydę się za tych wszystkich głębokich filozofów i subtelnych pisarzy — Montaigne'ów, Kartezjuszy, Wolterów i Stendhalów, za wszystkich, których tłumaczyłem z takim pietyzmem i miłością, wstydę się tego, że nie nauczyli oni swoich żołnierzy z dwudziestego wieku przynajmniej tego, o czym dawno wiedzieli Chińczycy, kiedy otoczyli swój kraj wysokim murem po to, aby im ten mur przypominał o istnieniu niebezpiecznych sąsiadów. Najsmutniejsze w tej całej tragedii jest to, że zobowiązuję mnie do wykładania historii literatury francuskiej właśnie w takim czasie. Powiniennem bym podzielić się ze swymi słuchaczami tymi wszystkimi myślami, jakie obudziły się we mnie pod wpływem wypadków wojennych. Wychowano mnie, podobnie jak i pana, w przekonaniu, że sprawy pokoju zajmują się dyplomaci, sprawy wojny — generalowie, a literatury — jej wykładowcy, krytycy i pisarze. Nikt z nas nie nauczył się oceniać utworów literackich z tego punktu widzenia, który ma największe znaczenie: czy utwory te zdolne są wychować takich obywateli, którzy mogą obronić kraj przed wandalami, gdy ci przyjdą, aby zniszczyć wszystkie książki i wszystkich pisarzy. Prawda, że to problem straszny?

— I znowu jestem w tym samym Lwowie, gdzie, prawdę mówiąc debiutowałem kiedyś. Nie mam na myśli swych wierszyków, ale grube tomy przekładów z literatury francuskiej. I znowu trzeba debiutować

Z ukraińskiego przełożył
K.A.J.

O „DWÓCH KSIĘŻYGCACH” I LUDZIACH SZUKI

Rozmowa z Marią Kuncewiczową

ADAM GALIS

*) Rozdział z przygotowanej do druku książki o spotkaniach i rozmowach z pisarzami polskimi w latach 1931—1938 (A. G.).

PLAC Trzech Krzyży w Warszawie. Ogromna, czynszowa kamienica. Przez całą szerokość jej fasady, na skraju dachu, zapala się wieczorami napis reklamowy: nazwa węgierskiej fabryki żarówek — słowo, brzmiące po polsku jak nieprzyzwoita, lecz trudna do wykonania, groźba

Na którymś wysokim piętrze tego domu, w skromnym mieszkaniu, w pokojach przedzielonych cienkimi ścianami, pochylają głowy nad odrębnymi rodzajami roboty dwaj pracownicy umysłowi: Maria i Jerzy Kuncewiczowie.

Podczas gdy pan Jerzy Kuncewicz snuje w swoim gabinecie uniwersalne koncepcje struktury nowego, przebudowanego społecznie świata i pisze dzieło filozoficzno-socjologiczne, puchnące z dnia na dzień mnogością stron — w sąsiednim pokoju, pani Maria Kuncewiczowa, filigranowa, drobna, pisze, poprawia, wygląda świeżą metaforę w swej prozie, subtelnej jak japoński rysunek tuszem.

A. G.: Przychodzę do pani bezpośrednio po powrocie...

W tym momencie rozpoczęłyby się wstępna faza rozmowy. Lecz w tym samym momencie wpada do pokoju zażywny pan Jerzy Kuncewicz. Rękawy koszuli zakasane po łokcie. Spojrzenie odkrywcy, w którym jednak tkwi nieukrywana pogarda dla osobników nie zdających sobie wcale sprawy z tego, że przed minutą, w sąsie-

dnim pokoju, rozstrzygnęły się losy republiki świata. Zapewne w dwóch tomach!

J. K.: Wybaczysz! Znowu telefon do ciebie... Ten, jak go tam... Przepraszam najmocniej pana... ale...

Pan Jerzy Kuncewicz wybiega z szybkością ekspresu. Pani Maria znika i wraca po chwili, podniecona lekko i jeszcze bardziej urocza.

A. G.: ...Wracam z wędrowki po mieście, nad którym świecą pani „Dwa księżycy”. Przyznam, że z pewnością dożą nieufności powierzyłem się pani przewodnictwu w tej wędrowce, przypuszczając, że tak jak dawniej zechce pani widzieć i pokazywać tylko piękności i ozdoby, tłumacząc je pięknymi, ozdobnymi słowami... Przyznaję, że podziwiałem do książki pani, uzbrojony w dawno nie sprawdzaną miarękę i zdecydowałem z góry, że w mieście pod „dwoma księżycami” odnajdę panią z czasów „Przymierza z dzieckiem”. Ale pani się bardzo zmieniła. Czy wolno zapytać o te zmiany, o świadomość tej przemiany w pisarzu, o to, czy pisarz może świadomie kierować swoim rozwojem?

M. K.: Pyta pan o rzecz bardzo trudną, o świadomość rozwoju. Pisarzowi trudno jest mówić o swoim rozwoju, bo taka ocena inaczej wygląda od zewnątrz, a inaczej od wnętrza, od strony samego pisarza. Można raczej mówić o rosnącym wysiłku, o samokontroli, o sumiennosci... Usiłuję niczego nie robić łatwo. Kiedy zaczynałam pisać, czyniłam to w sposób odruchowy, barbarzyński, żywiołowy. Był to raczej wybuch, bez świadomości tak ważnej w procesie twórczym. „Twarz mężczyzny” pisałam z premedytacją, ale samowiedza była przy tym bardzo niska. Istniał zamiar skontrolowania, lecz sam aparat twórczy nie działał należycie.

A. G.: Przypuszczam, że różnica między zamierzeniem twórczym a wynikiem pracy najbardziej uderza samego twórcę.

M. K.: To wygląda w ten sposób, że to, co się pisze najgorzej, w najgłębszym transie, gubi się po drodze. Trans kieruje się w stronę pisarza, a czytelnik doznaje uczucia nienasyce-nia. A przecież istota sztuki polega na obiektywizacji przeżycia indywidualnego środkami dostępnymi dla odbiorcy...

Do pokoju wpada z tartasem pan Jerzy Kuncewicz z miną niedosłego zabójcy. W rękę trzyma jak nóż, gotowy do ciosu, wieczne pióro. Woła: — Ten od szcurków, z Kazimierza Dolnego, znowu dzwoni do ciebie!

Potężna pierś pana Jerzego Kuncewicza wzbiera i opada groźnie.

Po powrocie pani Marii do pokoju należy odbudować nastroj pisarskich zwierzeń, ale jest trudniej niż przed paroma minutami.

A. G.: Wydaje mi się, że celowi, jaki sobie zakłada twórczość pisarza, zgodnie z formułą pani sprzed chwili, odpowie najlepiej autentyzm opisu rzeczywistości?

M. K.: O, nie! Autentyczność w sztuce i jej oddziaływanie to zjawisko bardzo dziwne. Twory wyobraźni, rzeczy wymyślone, są w odbiorze czytelnika najautentyczniejsze dzięki swej magii pisarskiej, podczas gdy niejednokrotnie opisana rzeczywistość traci najjaśniejszym fałszem. Prawda pisarza i prawda życia to dwa różne światy.

A. G.: Właśnie mój niedawny pobyt w Kazimierzu Dolnym był taką próbą porównania prawdy pisarza o tym egzotycznym mieście, z prawdą życia... Ale co panią uderzyło najbardziej na terenie Kazimierza, w jego rzeczywistości?

M. K.: Ta egzotyczna rzeczywistość nabierała barw w chwili zetknięcia się dwóch obcych elementów ludzkich: autochtonów i przybyszów. Tu właśnie obiektywizm pisarza musiał przewyższać ciekawą właściwość wewnętrzną... Ludzie bliscy, ludzie z miasta, lub rzeczy bliskie i znane, wskutek analizy, jaką się przeprowadza, mają tendencję do zmieniania się w abstrakcje, w idee. Widzi się ich jako pewne koncepcje i dlatego mniej się zwraca uwagi na ich samostne znaczenie. Podczas kiedy ostra

Dokończenie na str. 14)



RAZGOUR - KOMPOZYCJA KAZIMIERZA (OLEJ)

sklepów — znikoma. Gmina Spółdzielnia wraz ze swymi filiami zatrudnia kilkadziesiąt osób, których kwalifikacje z roku na rok wznoszą.

Kiedy 1 września 1939 r. tu i ówdzie zwoływano inteligencję, celem wspólnego wysłuchania orędzia Mościckiego, spotkania odbywały się w dwóch zespołach: we dworze który posiadał własny radiodbiornik i przy którym zasiadali wyżsi urzędnicy dworscy, księża i kilku zaufanych oraz w ciasnej izdebce szkolnej, w której bez trudności mieściła się pozostała grupa z felczerem — fryzjerem, podkuwaczem — weterynarzem, sklepikarzami, rzemieślnikami i pomocnikami pisarza gminnego.

O locie Gagarina w Kosmos dowiedzieli się już o godzinie 9 rano wszyscy pracownicy umysłowi, nie opuszczając swego miejsca pracy, bądź z własnych, bądź „społecznych” telewizorów, a już na pewno z własnych wielolampowych radiodbiorników.

W podtekście obu powyższych akapitów należy odczytać wiekową przepaść, jaka dzieli inteligencję wiejską 1961 od jej przedwojennych przodków ze wszystkimi Judymami włącznie.

Nadto genealogia współczesnej inteligencji wiejskiej jest niemal jednolita, nie wymaga żmudnych dociekań naukowych.

Ta wielka rzesza ludzi mogłaby wywierać, jeśli nie decydująca, to w każdym razie znaczny wpływ na środowisko, mogłaby przyspieszyć proces pełnej socjalizacji wsi.

WYDAJE się, iż nie mają racji ci znawcy stosunków wiejskich, którzy „badając rzecz całą” zaczynają od problemu autorytetu. Wszystkie niemal ankiety i kwestionariusze, które otrzymujemy od różnych instytucji, zawierają jedno zasadnicze pytanie:

— Jakim autorytetem cieszy się, zdaniem waszym, wśród chłopów nauczyciel (agronom, lekarz, pracownik GS, GRN, bibliotekarz)?

Odpowiadam:
— Na pewno nie takim, jak „Silaczka”, dla której chłop jeździł darmo 50 wiorst po lekarstwa i która zostawiła rozkochanym w sobie mieszkańcom „wioski” rękopis fizyki dla ludu. Ani takim, jakim cieszył się jej narzeczony lekarz w Obrzydłównku.

Albowiem mieszkańcy wsi zgola innymi oczami patrzą na inteligenta, inne stawiają wymagania. Zmieniły się poglądy chłopów, jego kryteria, zniknęły ślady stosunków patriarchalnych, ogromnym przeobrażeniom uległy stosunki rodzinne, własnościowe, zbladły wszelkie, bez różnicy, autorytety.

Różnice w samym środowisku inteligentkim, jak również między inteligencją a chłopami, wynikają z nierównomiernego stosunku do postępu technicznego, a więc eo ipso i do ekonomicznego. Marzeniem wszystkich pracowników służby zdrowia, służby rolnej, wszystkich młodych oświatowców jest chęć posiadania własnego mechanicznego środka lokomocji, własnego telewizora, świetlnie, najbardziej nowoczesnie wyposażonego gabinetu, pracowni, laboratorium podręcznego. Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy nie widzieli w swoim życiu „żywego dziedzica”, którzy przyzwyczaili się nawet w rozmowach prywatnych podkreślać korzyści wynika-

jące z gospodarki uspołecznionej, wszyscy ci ludzie, powiadam, niechętnym okiem popatrują na kurczowo trzymającego się na swoich morgach chłopca, który ciągle jeszcze z rezerwą słucha wykładów o kolektywizacji wsi. Zajrzyjcie do pierwszej lepszej rodziny chłopskiej; prawie w każdej dostrzeżecie konflikty między starszym a młodym pokoleniem. Córka-agro czy zoo-technik pomatuje na matkę, która trzyma w obórze laciata, dająca pięć litrów mleka dziennie, syn-technik dentystyczny, nauczyciel, czy nawet lekarz, biega ojca aby przestał go kompromitować chudą szkapiną lub ustawicznym procesowaniem się z sąsiadem o miedzę.

Inteligent wiejski widzi w szybkim rozwoju postępu ekonomicznego i technicznego własne korzyści. Gołym okiem dostrzega bitą szosę wiodącą do jego wsi, szopy elektryczne, kluby z bilardem, darcinżem, kinem, wyświetlającym najnowsze filmy, teatrem, widzi asfalt, po którym pędzi z szybkością stu km na godzinę, widzi wreszcie swój awans społeczny i zacieranie się różnicy między mieszkańcami miasta i wsi.

Nie każdy rolnik myśli tymi kategoriami, a przynajmniej nie każdy reprezentant starszego pokolenia.

Niemal analogiczne procesy zachodzą wśród części inteligencji, zwłaszcza w środowisku nauczycielskim.

Wsi, wykonuje arcyważną funkcję społeczną. Przy czym jest armia ludzi, która na szczęście czy nieszczęście nie posiada żadnych tradycji. No bo jaką tradycją może poszczycić się agronom, lekarz weterynarii, albo i lekarz medycyny czy stomatolog? Do żadnych wzorów w przeszłości nie może też sięgnąć pracownik gromadzkiej rady. Bo lżyba nie do Zolzikiewicza.

Lekarz pracujący w wiejskim ośrodku zdrowia spełnia skomplikowaną funkcję społeczną. Walczy z wszawicą, podnosi zdrowotność i higienę mieszkańców wsi poprzez wskazówki w sprawie racjonalnego żywienia, modernizacji warunków pracy, mieszkań, — które oprócz aureoli bohaterstwa wyimaginowaną postać świetnej powieści Żeromskiego. Rzecz jasna, że lekarz współczesny nie uważa siebie za bohatera, ani uchodzi za takiego w opinii swoich pacjentów-chłopów. Taki powinien być, innego bezpośrednio nie znali. Ale lekarz ten po dwóch-trzech latach wyczerpującej pracy stara się poszerzyć swoje kontakty z ludźmi, wychodzi z kręgu wąskiego profesjonalizmu i wtedy właśnie napatyka niemałe trudności.

Podobnie jest z agronomek i jego najbliższym towarzyszem lekarzem weterynarii. Wywierają poważny wpływ na wydajność z hektara i zdrowotność pogłowia podnoszą ogólny poziom kulturalny wsi. Za kilka lat

ganizacji i instytucji jedynie Związek Młodzieży Wiejskiej zainteresował się działalnością inteligencji wiejskiej, organizuje z nią i dla niej kursy, seminaria, spotkania. Nowoczesna organizacja wiejska najbardziej prawdopodobnie odczuwa i rozumie tęsknoty i potrzeby młodego inteligenta osiadłego na wsi.

Kiedy powołani pracownicy nauki zaczęli badać budżet wolnego czasu nowych kręgów inteligencji, niech się nie dziwią, iż młody lekarz w szczególności zamkniętym gabinecie mozolnie wystukuje obcasami taneczne pas przy akompaniamencie muzyki z głośnia, agronom uczy się słówek niemieckich lub zgoła hiszpańskich, a lekarz weterynarii w najgłębszej tajemnicy studiuje historię sztuki. I niech nie głoszą o tych swoich spostrzeżeniach urbi et orbi. Albowiem opinia publiczna ukształtowana wedle wzoru 1937 podniosłaby wrzawę i tańczący lekarz straciłby pacjentów, agronom, — twarz, a weterynarz — zaufanie.

Jest tylu twórców w naszym kraju. Gdyby tak o współpracy z nimi chętnie się pokusiła nasza telewizja, gdyby z myślą o inteligencji wiejskiej układała swoje programy. Byłoby nam na pewno weselej żyć. Za telewizją poszłyby i inne instytucje kulturalne i plecówki naukowe.

Katedra uniwersytecka, radio, telewizja, dobrze wyposażona biblioteka lokalna, względnie księgarnia, mogą bowiem w znacznym stopniu dopomóc inteligentowi wiejskiemu we właściwym wykorzystaniu wolnego czasu. Jak dotychczas spełniają one tę funkcję tylko połowicznie i chaotycznie, co wynika ze słabego rozeznania potrzeb nowego odbiorcy.

Prawda, iż wśród części inteligencji wiejskiej nie brak hucpiarzy i karierowiczów. Kto jednak uważnie śledzi ewolucję zachodzącą w środowisku inteligencji wiejskiej, musi stwierdzić, iż ilość tych „żurawi” maleje z roku na rok, że w ostatnich latach kształtowała się coraz bardziej nowoczesny typ inteligenta coraz bardziej odpowiadający naszym ideałom narodowym.

Jest jeszcze postulat pod adresem Związków Zawodowych. Wydaje się, iż przeoczyły one fakt, że znaczna część ich członków pracuje już na najniższym szczeblu: na wsi. Troszcząc się od lat zapobiegliwie o harmonijną współpracę poszczególnych związków w mieście, nie zalegają, jak dotąd, o koordynację działalności swoich wiejskich ogniw. A przecież to one winny pokusić się o tworzenie jednolitego, ofensywnego frontu działania.

Od naszych kolegów zamieszkałych w dużych ośrodkach kulturalnych domagamy się, aby przestali nas wreszcie traktować jak ubogich krewnych, aby przestali domagać się od nas apostołowania z kagańcami i aureolami.

W ciągu najbliższych pięciu lat poziom kulturalny wsi wzrośnie w takim stopniu, iż trudno będzie w niej wyłowić patentowanego inteligenta. Oczywiście, na pewno nie pozostanie on w tyle, a praca przezeń wykonywana będzie należała do doceniona przez wykwalifikowanych rolników i robotników rolnych.

Waldemar Babinicz

PO SIEDEMNASTU LATACH

Ciągle jeszcze najstarsza generacja nauczycielska marzy o „własnym kątku” i dwóch, trzech morgach na warzywa i sadku owocowym z nowoczesnym uzupełnieniem w postaci anteny telewizyjnej. Młodzi nauczyciele, jakkolwiek byśmy ich ocenili, mają zgoła inne ideały. Morgi w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jak ognia boją się, by ich nie przypisano do ziemi. Pokpiwają z tradycji „Silaczek”, z literackich upodobań swoich starszych kolegów, gorączkowo uzupełniają lukę w wykształceniu, szczególnie w dziedzinie mechaniki i fizyki, a także w nauce języków obcych, tańców, plastyki, urządzenia wnętrz, muzyce i geografii. Wszyscy chcą podróżować, wszyscy chcą poznać „na początek” kraj własny i kraje sąsiednie.

Wydaje się jednak, iż zainteresowania młodych nauczycieli, ich nowoczesne aspiracje rozbijają się o przestarzałe autorytety. Nie słychać jakos, poza wyrozumiałym poklepywaniem po ramieniu, by doceniano w pełni rzeczywiste dążenia młodej kadry nauczycielskiej. Czy nikt nie dostrzega, iż na zjazdach ZNP przeważają przedstawiciele starszego pokolenia? Exempłum: ostatni Walny Zjazd Delegatów. Jeśli prawdą jest, że młodzi nie garną się do pracy związkowej, że zachowują postawę bierną, to mimo wszystko warto chyba sprawdzić, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

A tymczasem wszyscy ci, którzy w szkole i w nauczycielu dostrzegają jedyną siłę twórczą w wiejskim środowisku inteligentkim, muszą uznać fakt, iż rzesza nauczycielska stanowi niespełna połowę całej inteligencji wiejskiej, że właśnie ta druga połowa ze względu na usługi, jakie odda-

agronomówki spełniać będą nie mniej ważną funkcję na wsi niż szkoły. Wiadomo przecież, że w każdej agromówce będzie podręczne laboratorium, że sama instytucja wraz z jej pracownikami odegra kolosalną rolę w ostatecznej walce z ciemnogrodem i jego przybudówkami. Już teraz zdaje sobie z tego sprawę agronom i dlatego stara się poszerzyć i pogłębić nie tylko swoje zawodowe kwalifikacje, ale i wiadomości ogólne. Można to zauważyć na wzmóżyonym ruchu czytelnictwa wśród służby rolnej, na ożywionych kontaktach towarzyskich z przedstawicielami innych grup inteligentkich.

Wydaje się, że minęło sto lat od chwili, kiedy to służba rolna objęła „włości” konno, w białych rękawiczkach, ze szpicrutą, odgradzając się w karykaturalnie urzędzonych salonach od fernali i chłopów. Nikt nie wiedział, jak ma być styl życia tych nowych mieszkańców pałaców. Były to lata czterdzieste, kiedy PGR nosiły dość enigmatyczną nazwę Państwowych Nieruchomości Ziemińskich, a ministrem rolnictwa był zacierający się w pamięci starszej generacji, a zupełnie nie znany przez młodych imię St. Mikołajczyk. Dawne dzieje.

Inaczej żyją, inaczej poczynają sobie dziś inżynierowie rolnictwa, agrotechnicy, weterynarze. Sami w nowych, obiektywnych warunkach dopracowują się nowego stylu życia. Wypracują go w pełni za kilka, kilkanaście lat.

JAK dopomóc im i innym kręgom inteligencji wiejskiej mądrze i skutecznie? Jak dotąd bowiem — znamienny, wiele mówiący fakt — spośród licznie działających w kraju or-

Gredziński zgłosił swój udział, był on już poetą świadomym swej sztuki i drogi poetyckiej.

Gredziński przybył do Lublina z Krakowa, gdzie brał czynny udział w wystąpieniach futurystów i wraz z Młodożencem, Czyżewskim i innymi należał do klubu futurystów „Katarynka”. Zetknął się więc poeta z tym kierunkiem w jego najciekawszych przejawach. Ale nie z Czyżewskim i Młodożencem wiąże Gredzińskiego pokrewieństwo. Jest on bliższy o wiele Brunonowi Jasielskiemu czy Anatolowi Sternowi. Przykład niech będzie z wiersza Erotyk:

rozwałbiła się na łóżku pali papierosa
i sama się do siebie uśmiecha zagadkowo
na niej masa brązowych rozfalowanych włosów
rzekłabyś brzuchata leży biała morska krowa

Takie brutalne określenie kochanki jest w erotykach futurystów jak najbardziej na miejscu. To zresztą należy do ich zdobyczy. Gredziński ulega futurystycznym manierom bardzo wyraźnie. Nie tylko przyspiesza tempo wiersza, rwie zdania i obrazy, wprowadza zgrzyty („mładożę czaszki trybami maszyn”). Nie tylko wyszukuje rymy, które dodają wierszowi siły i wyrazistości, np. rymy złożone i tak/ biedaku, obłoki/ rąk im, dal tą/ ansaldo, czy męskie z żeńskimi: płaki/znak, ran/ do rana. Śladem ówczesnych postoi wprowadza autor Parabol liczne aliteracje, doбира słowa o zbliżonych dźwiękach: „Lili leje do kieliszków likwor” (Życie) czy: „kaleka lęklwie kwil” (Amputacja). Szuka egzotyki, przede wszystkim w temacie i słownictwie, a nade wszystko jest Gredziński urbanista, człowiekiem poddanym prawom i ciśnieniu współczesnej cywilizacji:
jestem balonem
z którego się ulatnia ten chłoi
wkręcony w samo serce manometr

notuje spadek ciśnienia
najściślej
na zegarze

Erotyk

Nawet człowiek staje się tu jakimś mechanizmem, maszyną. W tym samym wierszu jest więcej elementów przejętych z nowoczesnej cywilizacji. Życie to ciągły film, nieustanne kino zdarzeń. Lata to dla poety piętra wielkiego domu („spójrz nieostrożnie w dół z 1926 piętra”). W tym miejscu warto zająrzeć do utworu Czechowicza, pt. Inuokacja ze zbioru Kamień. Znajdziemy tam niemal identyczne ujęcia:

Liczę 22 piętra
Liczę 22 lata
jest nas 22
Człowiek to transformator

W innym wierszu pojawi się i „zdarzeń film”. To nie zbieżność przypadkowa, ani nie wzajemne naśladowanie. To wyraźny znak wspólnoty postaw artystycznych, podobnego punktu wyjścia. Związek Gredzińskiego z nową sztuką na tym się nie kończy. Urbanistyczny pejzaż i tematyka cywilizacji zakładają optymizm, afirmację i kult dla niej. U Gredzińskiego to tak wygląda:

w alejach ulic
jest coraz piękniej
tramwaje dają
publiczny koncert
i uśmiechają się słizne panienki
bo zaraz
wszędzie jest słońce

Skazany

Stąd tylko krok do optymistycznego zakończenia: „Ludzie wszyscyśmy braćmi”. Ta miłość do prostego (Dokończenie na str. 15)

GREDZIŃSKI

CZWARTY Z „REFLEKTORA”

TADEUSZ KŁAK

I Stanisław tętniący stopami jak we śnie
finisz biorąc z wysiłkiem nadmiernym zbyt ciężko
nie zawoła do siostry śmierci weź mnie
chylże nogi umkną przed kłęką

To o Stanisławie Gredzińskim pisał tak Czechowicz w wierszu W czterech. Ale tym razem Czechowicz pomylił się. Chylże nogi przed kłęką nie zdołały umknąć, siostra śmierć przyszła i zabrała go. Gredziński nie przeżył bowiem drugiej wojny światowej, tak jak i autor tamtych słów.

Dwa są powody, dla których nazwisko Gredzińskiego zostaje dzisiaj przypomniane: należał on wraz z Konradem Gralewskim, Józefem Czechowiczem i Wacławem Gralewskim do grupy poetyckiej „Reflektor”, po drugie — jest autorem jednego z zbiorów wierszy Parabol, wydanego trzydzieści pięć lat temu w „Bibliotece Reflektora”. Można podać i powód trzeci. Nie mniej ważny: Gredziński był obok Bielskiego, jedynym lubelskim przedstawicielem futuryzmu. Można przypuszczać nawet, że Gredziński nowinkę futurystyczną przywiózł do Lublina osobiście. Kiedy tworzyła się grupa przy „Reflektorze”, do której

PRZEGLĄD LITERACKI

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

WYDANE ostatnio zbiorki liryków Heleny Platty, Marli Szczepowskiej, Zbigniewa Kościńskiego i Jerzego Księskiego stwarzają znaczący, ale nie wyjątkowy okaz do przyjrzenia się Lublińskiemu poetyckiemu. Tradycje tutejszego środowiska zachowały rzadką w naszej ojczyźnie ciągłość, antenatów bowiem (i to nie tylko edytorskich!) „Dachów Lublina”, „Tarniny”, „Meteorów” i „Trzeciego świata” wypada szukać aż w międzywojennym Chelmie; publikowana tam, a później w Lublinie, mała i duża Biblioteka Kamenny jest przecież protagonistką prezentowanej dwa wprowa i dwa debiutujące w formowaniu liryckiej frazy pióra Biblioteki Poetów Lubelskich tym więcej, że troskliwym i sumiennym redaktorem wszystkich trzech serii pozostaje niestrudzony w mądrej opiece nad literaturą chłubiącego się nie tylko Czechowiczem regionu — Kazimierz Andrzej Jaworski. Obok tradycji —

konieczna dla żywotności środowiska artystycznego fluktuacja pokoleń, wymiana doświadczeń, współistnienie i współpraca odmiennych stylów i programów artystycznych; poświadczając realność tych niemożliwych dla rozwoju normalnego środowiska literackiego przesłanek zbiorki wierszy Platty, Szczepowskiej, Kościńskiego i Księskiego prezentują zjawisko, uchodzące może uwagi koneserów z artystowskich kawiarni, jednak tym więcej cenne dla odpowiedzialnie, twórczo pojmowanego upowszechniania kultury. W Bibliotece Poetów Lubelskich wysiłek pisarzy i redaktora w tym względzie spotkał się z odpowiednim i równie przykładowym rezonansem ze strony mecenasów i edytora; wszystkie cztery tomiki wydano z dotacji Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie, a Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza (obecnie — Wydawnictwo Lubelskie) nie poskąpiła im starannej, a estetycznej szaty graficznej.

Jest, przynajmniej dla mnie, coś ujmującego w fakcie, że każdy z owych czworga przedstawionych ostatnio przez Bibliotekę Poetów Lubelskich (istotny udział w graficznym sukcesie tej prezentacji mają autorzy okładek i ilustracji: Henryk Zwoleńkiewicz, Barbara Wengorek, Krzysztof Kurzątkowski i Jerzy Durakiewicz) liryków zachowuje i podkreśla serdeczny związek z miastem i krajobrazem, towarzyszącym bezpośrednio lub pośrednio poetyckim i ludzkim przeżyciom.

NAJBARDZIEJ wyraziście okazują ów związek „Dachy Lublina” Heleny Platty; zwiedzając niedawno Pierwszą w życiu dokładnie miasto Trybunału i Majdanka, czuję osobistą wdzięczność do poetki, że moje — i chyba nie tylko rycy egzotykiem z pozoru ornamentykę i

me — wrażenia z tej włości potrafiła pogłębić i wzmocnić spajającym jej wiersze wiatkiem autentycznego humanizmu. „Dachy Lublina” nie są bowiem albumem martwych, lecz nienagannych technicznie widołków poetyckich: Platta stosuje w swoich lirykach chwyt wytrawnego artysty-fotografika, świadomego, że uroda krajobrazu i wspaniałe zabytki wystąpią w jego kompozycji tym silniej, jeśli na jej tle zostanie dyskretnie, ale wzruszająco ukazany żywy człowiek. Oto i perspektywa lubelskich liryków Platty, w których nienaganne, kształtowane przez wytrawną kulturę literacką, strukturze poetyckiej, kunszcie wersyfikacyjnym znać rytm wrażliwego serca i po kobiecemu subtelnych uczuć. Platta umie zresztą kontrastować emocjonalne i artystyczne tonacje swoich wędrowek po Lublinie; wystarczy porównać łagodne zamyslenie „Sniegu w ogrodzie Saskim” z nerwową, reportażową pasją „Co dzień”, albo plastyczną epickość „Podzamcza” z osobistym, autobiograficznym wyrażeniem „Kreków”. Poetka — i to właśnie określa pozalubelski horyzont „Dachów Lublina” — okazuje w tych kontrastach, w motywach dla nich i pretekstach, na czym polega różnica między literackim regionalizmem, bądź — innymi słowy — między opisywaniem a niekłamaniem twórczym przekształcaniem inspiracji krajobrazu.

MANIFESTACJA bardziej egocentrycznej, zwróconej ku sobie wyobraźni liryckiej jest „Tarnina” Marli Szczepowskiej. Co nie znaczy, by poetka pozostawała mniej wrażliwa na bodźce zmysłowe, inspirację plastyczną; jedną z oryginalności poezji Szczepowskiej są wtki i motywy kirgiskie, cygańskie i chińskie, które

kolorystykę nasyca autentycznym nurtem silnie, dramatycznie chwila eksponowanego uczucia. Pretekstów do skonkretyzowanego, pozabawionego anonimowości adresata, wypowiedzi liryckiej szuka zresztą autorka „Sceny” tak samo w nurtach historii najnowszej, osłabiając ich bolesną autobiograficzność — z podtekstów wielu wierszy Szczepowskiej można wyzłazić motto „Medalionów”: ludzie ludziom zgotowali ten los — przy pomocy motywów zaczerpniętych z legend antycznych („Odys i syrena”) i średnio-wiecznych („Loida”). W swoich „dialogach z nieobecny” (struktura liryków „Tarniny” oparta jest na ogół na kompozycji i stylistyce kwestii dramatycznych) Szczepowska umiejętnie spietrza i kontrastuje nastroje, cieniuje apoteozy, podkreśla pointy — dając w ten sposób na niewielu stronach tomiku dość wszechstronny przegląd możliwości i profitów, jakie realizuje zajmowana przez autorkę „Drogi” postawa lirycka. Są one znaczne i odkrywcze: Szczepowska — i to właśnie odbiera jej lirykom charakter kreślonych wyłączenie na osobisty, poetycki użytek etud — argumentuje „Tarnina” odrębność i wykluczającą alternatywę przeciwstawności autentycznej dramatyczności i aktorskiego pozerstwa w ekspozycji i obróbce tego najcenniejszego z tworzyw, jakim dla sztuki pozostaje niezmiennie autobiografia artysty.

W LASNE życie, a ściślej — doznane osobiste przytrafienie i konflikty ulegające z trudem poetyckim metamorfom wyobraźni są również tworzywem debiutującego „Meteorami” Zbigniewa Kościńskiego. Jego tomik kończy „Romanca hiszpańska”, poświęcona „pamięci poety Federico (Dokończenie na str. 10)

W STAREJ, drewnianej chacie na skraju wsi Hordzieżka od lat już przeszło osiemdziesiąt żyje ludowy artysta-rzeźbiarz Jakub Madej.

Siedzi właśnie przy oknie i obraca w drżących palcach kawałek brzoźowego drzewa. Co z tego będzie? Może figurka człowieka przygarbionego nieco, zmęczonego życiem tak jak on. A może ptaszek ukształtowany w drzewie rzetelnie, z całym kunsztem kilkudziesięcioletniego doświadczenia. Jakub Madej długo się zastanawia, po czym bierze dłuto i po raz nie wiadomo który odchodzi do niemej świata swojej sztuki.

Nie rozmawiam już z Jakubem Madejem. Zresztą byłoby to bardzo trudne. W dzieciństwie chorował na zapalenie opon mózgowych. Choroba ustąpiła zostawiając trwałe ślady na całe życie; przytępiony słuch, tak że tylko pojedyncze wyrazy wykrykiwane osobno docierają do świadomości, i zaburzenia w mowie. To, o czym opowiadał on sam, z trudnością mogłem zrozumieć.

Zaczął rzeźbić od najmłodszych lat. Nikt go tego nie uczył, sam wiedziony potężnym instynktem nadawał kawałkom drewna zamysłone kształty. Choroba nadwerżyła także i system nerwowy, jakby chcąc odebrać mistrzowi i światu jego sztuki. Do głuchoty i trudności w wysławianiu dołączyło się drżenie rąk.

Patrzę na te spracowane ręce, które stały się chyba największą udręką Madeja. Potrafił je swoją wolą rzeźbiarską ujarzmić, podporządkować rzemiosłu, tak aby tworzyły dzieła kruche i wyraziste.

Wieś Hordzieżka zbudowała się z drewna między lasem a piaszczystą drogą na południowo-zachodnim krańcu powiatu lukowskiego. Tutaj osiemdziesiąt jeden lat temu urodził się Jakub Madej, tutaj w drewnianej chacie mieszka samotnie do dzisiejszego dnia. Do szkoły nie chodził, zaledwie potrafił się podpisać. Nigdy w życiu nie był w siedzibie swego powiatu — Lukowie. Nigdy nie podróżował koleją. Tego dnia, kiedy go odwiedziłem, był w odległym od Hordzieżki o pięć kilometrów Adamowie. Podobno załatwiał coś na poczcie, ale co — tego na pewno nikt nie wie.

Widziałem go, jak siedzi rozglądając się dookoła i często zatrzymując się. Pod pachą trzymał laskę zakończoną rzeźbą przedstawiającą głowę mężczyzny. Laskę tę kupił od Madeja, budzi zrozumiały zachwyt w Lublinie, w tym dalekim Lublinie, o którym Madej zaledwie słyszał i to niezbyt często.

W tymże Lublinie działacze kulturalni dostępszyli jednak głos mówiący o ludowym artyście, naiwnym rzeźbiarzu Jakubie Madeju. Krystyna Andruszkiewicz z Wojewódzkiego Wydziału Kultury bezbłędnie oceniła prymitywny i przez to autentyczny talent Jakuba Madeja.

Nazwałem go lubelskim Nikiforem. Madej podobnie jak Nikifor jest w swojej sztuce samoukiem.

LUBELSKI NIKIFOR

JERZY KSIĘSKI

Uprawia ją ciekawie i konsekwentnie, nie troszcząc się o losy gotowego już dzieła. Liczy się praca, praca, która potrafi wynagrodzić niesprawiedliwość losu i ludzką obojętność, praca, która jest całym światem.

Niewiele mamy artystów ludowych tej rangi, twórców autentycznych, samorodnych. Ci, o których wiemy, że rzeźbią, lepią z gliny, czy malują, jakże często wypacają swoje prace złym wpływem kiczu, mieszczańską poezją, czy gustami małomiasteczkowych koneserów.

Madej nie o tych rzeczach nie wie. Nie rozmawia z nikim, nie ogląda innych prac, rzeźbi to, co czuje, to, o czym wie.

Drewniany światek, któremu dobrze w przydrożnej kapliczce ma twarz lubelskiego chłopca, a dłonie sekatki, spracowane. Ludzie i zwierzęta — oto odwieczny temat Madejowych zainteresowań. Rzeźby często są podmuślowane; kolor na drewnie nabiera nieoczekiwanych blasków, dodaje figurkom naiwnej przekory, przenosi je poza granice realności.

JAKUB Madej, kiedy był młodszy, potrafił zrobić tym rzeźbieniem. Framugi okienne, kredensy, ozdobne krzesła, wszystko to z drzewa, czego ludzie we wsi potrzebowali mógł zмайstrować. Teraz już nie ma żadnych zamówień. Od czasu do czasu ktoś kupi jaką figurkę, ale rzadko, coraz rzadziej. Ludzie z okolicznych wsi znają Madeja, widzą jednak przeważnie jego kalektwo, nie dostrzegając zdolności. Tak było przez wiele, wiele lat.

Dopiero w roku ubiegłym, kiedy Longin Kowalczyk rozpoczął zbieranie eksponatów do Muzeum Regionalnego w Lukowie, przypomniał sobie o Madeju. Organizujące się Muzeum Regionalne zakupiło kilka rzeźb, była to, jak do tej pory najpoważniejsza transakcja Madeja, zainteresowanie się jego pracą. Za pieniądze otrzymane z Lukowa Madej kupił sobie nowe spodnie. Prawdę powiedziawszy przydałoby mu się i wiele innych rzeczy, ale któż potrafiłby zakupić tyle, żeby wynagrodzić kilkadziesiąt lat upartej twórczości, pracy w samotności równej wyrzeczeniom pustelnika? Ostatnio i Prezydium Po-



wiatowej Rady Narodowej w Lukowie przyszło z pomocą zapomnianemu artyście, ale czy to wystarczy?

W Muzeum Regionalnym Ziemi Lukowskiej zobaczyć będzie można popiersie Jana Kochanowskiego — dzieło stolarskiego dłuta Jakuba Madeja. W szafce jesionowego stołka dostrzegłem wzór rzeźby, reprodukcję ze starego numeru Tygodnika „ZOLNIERZ POLSKI”. Jakże długo musiał wpatrywać się Madej w surową twarz Jana z Czarnolasu, żeby go potem po swojemu w drzewie przedstawić.

Twórczość Madeja z ludowych wyrosła tradycji, w nich tkwi nieskażona, niezmanierowana. Szukać jej mu podobnych...? Chyba tylko w Krynicy i tylko jednego.

Co prawda są jeszcze i inni, prawdziwi ludowi twórcy, ale ich prace są dziełem niedzielnym, czymś, co stanowi dalszy plan w wirze rozlicznych zajęć i obowiązków.

Madejowi nie przeszkadza nic, nie martwi się o chleb powszedni, martwi się jedynie o to, żeby drzewo gruszy było posłuszne jego dłonom i pomysłowi.

Wiele już razy pomagano ludowym twórcom. Ich sztuka nie może przapaść, ocala się od zapomnienia artystyczne rzemiosło naszej wsi. Madejowi trzeba pomóc podwójnie. I materialnie i poprzez rzetelne zainteresowanie się wartościami, które jeszcze mógłby stworzyć. Jakub Madej ze wsi Hordzieżka zaczął już dziewiątą dziesiątkę lat swego życia.

Trudno tam trafić. Wieś Hordzieżka odgradza się od wygodnych dróg piachami, łąką i lasem. Jakub Madej chodzi pieszo tylko do Adamowa, nigdy dalej. Ale przecież wiemy już na pewno, że to Mahomet powinien udać się do góry, nie odwrotnie.

Jeszcze raz oglądam laskę, którą kupiłem od Madeja. Głowa starego mężczyzny stanowiąca gałkę jest tragiczna w swojej nieruchomej wyrazistości. Oczy szeroko otwarte patrzone w wleczną zielen i wieczny błękit krajobrazu wsi Hordzieżka.

A Jakub Madej — niezmiennie jak od lat znówu siada przy jesionowym stołku. Rozkłada narzędzia, bierze w drżące dłonie kawałek surowego drewna. Co z tego będzie? Może figurka człowieka, może ptaszek ukształtowany rzetelnie i prawdziwie... a może sam Jakub Madej przybrany w drewniany płaszcz ludowego światełka.

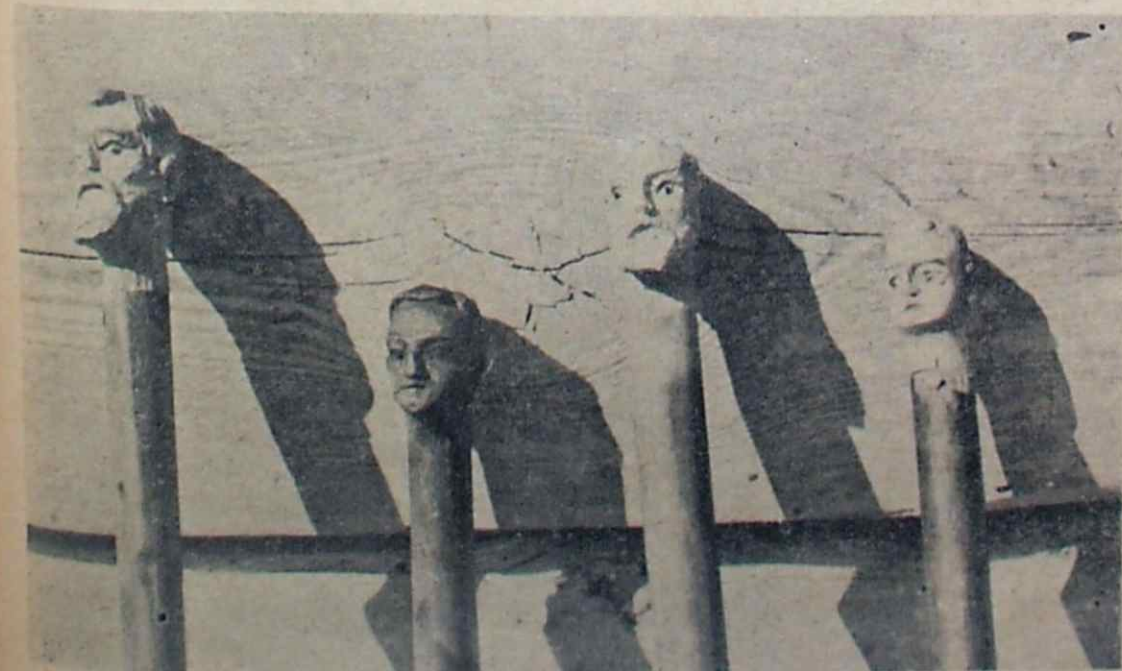
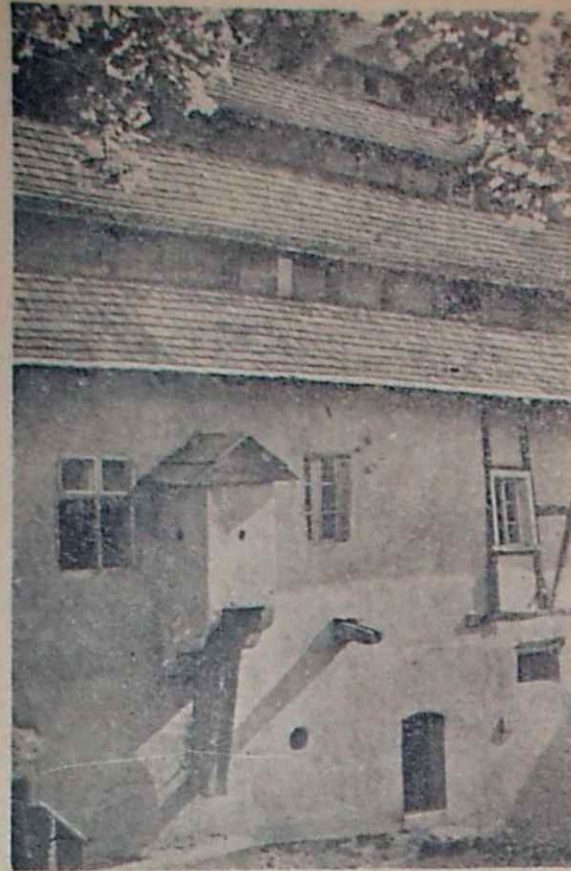


Foto Longin Kowalczyk

LASKI JAKUBA MADEJA



Duszniki Zabytkowa papiernia z 1605 r.

Z dzien- nika- rzami na zwiady

MARIA
BEHCZYC-
RUDNICKA

PAMIĘTAM, ktoś kiedyś szydził z utartego sposobu reportażystów rozpoczynających relację od momentu wyjazdu i od opisu środków lokomocji. Jednak właśnie tak muszą zacząć. Lecz ma to być funkcjonalne — przynajmniej w moim zamierzeniu.

Działo się kilka tygodni temu. Gdy wsiadałam w Warszawie do lśniącego zielonym lakierem wagonu sypialnego z powabnym napisem SUDETY ZAPRASZAJA, pierwszym mym doznaniem było zdumienie, w jakie mnie pogrążył widok zgrupowanych przy oknach korytarza moich przyszłych towarzyszy podróży: same młode twarze! „Oho — pomyślałam — nietrudno ci dziś być seniorem w jakimkolwiek towarzystwie, ale tu będziesz arcyse-niorką, ze wszystkimi ryzykownymi konsekwencjami tej pozycji. Czemuż to — rozważałam dalej — nie wydelegowały redakcje tzw. „pierwszego garnituru”? Czyżby bonzowie redakcyjni obawiali się trudów 9-dniowej wyprawy na Ziemię Zachodnią? Dlaczego w takim razie ja, mając tych swoich lat tyle a tyle... No, po prostu dlatego, — odpowiedziałam sobie — że nie jesteś bonzową i nie wymieniasz się w „ramach” z zagranicą. Tedy już taka podróż krajowa jest dla ciebie atrakcją, jak dla zgromadzonego w tym wagonie młodego ludka. Zielone światło dla młodzieży! Bądźmy więc młodzi, jeśli nie ciałem, to duchem.

Drugiego zaskakującego wrażenia, w tym wypadku można powiedzieć nawet mocnego przeżycia — dostarczyła mi końcowa konferencja prasowa w hotelu turystycznym „Orlinek”, nad Karpaczem. Kiedy spóźniona o pół minuty wszedłam do olbrzymiej galerii tego luksusowego „schroniska”, poczułam się do głębi przejęta i onieśmiona: oto przy niebawale długim stole, liczącym chyba kilkadziesiąt metrów, mniej więcej od jego połowy i aż do końca w głębi zasiadli przedstawiciele władz województwa wrocławskiego, władz powiatów bystrzyckiego, kłodzkiego, jeleniogórskiego, PTTK, FWP, Dyrekcji Państwowych Uzdrawisk i działacze TRZZ. Wielu z nich spotykałam już na codziennych konferencjach w poszczególnych uzdrawiskach, gdzieśmy się zatrzymywali. Ale wówczas były to trzy-cztery osoby, my stanowiliśmy większość. Teraz zebrało się naraz ze czterdziestu miejscowych działaczy — nie zdołałam ich policzyć dokładnie: oddalenie perspektywiczne zacięło odrębną postać. A dziennikarzy, przy bliższym końcu stołu, było trzydziestu pięciu. I tamci stanowili zwartą gromadę entuzjastów, znających do gruntu potrzeby i trudności swego regionu, odnoszących się do niego z żarliwym zamiętowaniem, wierzących w potęgę prasy, wysuwających pod jej adresem różne postulaty. A my cóż? Zebrani z różnych miast Polski A i B, żyłci o tyle, o ile można się żyć przez tydzień: w autokarze, przy wspólnych posiłkach, bliskich noclegach, przy kieliszku na „spotkaniach”. Nawet po forsownym, sumiennym zwiędzaniu, pytaniu i słuchaniu zna-liśmy tutejsze realia czy problemy

oczywiście po łebkach. Mielłszy zresztą już za sobą przegraną z reprezentacją wczasowiczów w „zgoduj zgaduli” urzędzonej w tej materii na jednym z wieczorków wczasowych... To wszystko mogło pozbawić dezynwoltury.

Jedynym dziennikarzem, który bezbłędnie się orientował w zagadnieniach sudeckich, był właściwie przedstawiciel „Ekspressu Wieczornego” Andrzej Koźmiński, coroczny gość ziemii kłodzkiej i jeleniogórskiej, autor jedynych dobrych przewodników po Kudowie, Dusznikach itd. On tedy był godnym przywódcą grupy dziennikarskiej, on mógł stawić czoło każdej sytuacji, on niezmordowanie komentował, podsumowywał, czuwał nad realizacją programu ekspedycji. Spod jego też pióra wychodzą rzeczowe artykuły o zaletach i mankamentach sudeckich uzdrawisk, podczas gdy wiadomości pochodzące od innych uczestników wycieczki raczej się rozdrobniły lub zamazały w przygodnych impresjach.

I nic dziwnego, bo uzdrawiska sudeckie, z ich specyfiką ziemi odzyskanej, to silva rerum zagadnień, rzeczy, których przekazanie komu należy wymaga systematycznej, wytrwałej penetracji, wyspecjalizowania się takiego, na jakie właśnie zdecydował się Andrzej Koźmiński.

To, co teraz powiedziałam, przypomina mi pewne włoskie powiedzonko z czasu pierwszej wojny światowej: „Armiamoci e partite!” Humor jego nieco zatracca się w przekładzie: „zbierzmy się i wyruszajcie!” Ale sens analogii jest taki, że zalecam innym coś, czego sama nie zamierzam zrobić. Rzeczywiście nie stać mnie na rzetelne zajęcie się sprawami, o które otarliśmy się w przelocie podczas dziennikarskiego „rajdu” w Sudety. Chciałabym tylko raczej ostrzec przed zbyt dyletanckim traktowaniem tych spraw. I dlatego wyznam szczerze, że mniej owocna mi się wydaje masowa dziennikarska wycieczka do kilkunastu naraz punktów (wycieczka ogromnie przyjemna, a dość pewno kosztowna i czasochłonna dla gospodarzy), niż indywidualne wyjazdy biegłych w tych materiałach dziennikarzy do poszczególnych uzdrawisk, wyjazdy na pobyty nieco dłuższe i periodycznie powtarzane.

*

MIEDZY momentami prezentacji i pożegnania, na które tedy nie bez kozery zwróciłam uwagę, był tydzień odwiedzin TRZECH POWIATÓW: kłodzkiego, bystrzyckiego, jeleniogórskiego. Kudowa, Bystrzyca, Międzygórze, wejście na szczyt Śnieżnika, Długopole, Polanica, Kłodzko, Łądek, Duszniki, Szczawno, Kowary, Jelenia Góra, Cieplice, Szklarska Poręba, Bierutowice, Przesieka, Świeradów, wjazd wyciągiem krzesłkowym z Karpacza na „Małą Kopę”, wejście na Śnieżkę, schroniska — Strzecha, Samotnia, Im. Bronisława Czecha i in. Wystarczy? A wymieniałam nie wszystko.

Globalnie rzecz biorąc, problematyka terenu sudeckiego układałaby się w

czterech grupach. Są to: organizacja czystości, wczasów, turystyki, życia stałych mieszkańców regionu z jego zakładami przemysłowymi. Tej ostatniej grupy chyba rozmyślnie nie objęto naszym programem, jako wymagającej osobnych, najbardziej wnikliwych badań. Rzućmy tedy spojrzenie tylko na pierwsze trzy grupy.

Oczywiście każda miejscowość, każda placówka ma swoje specyficzne osiągnięcia i troski, ale znajdzie się sporo spraw o cechach typowych. Dlatego na przykładzie jednego uzdrawiska można w pewnym stopniu poznać klimat pracy całego kompleksu uzdrawisk. Weźmy chociażby Kudowę, jeden z „kurortów” najlepiej zagospodarowanych i najbardziej popularnych. Nie będę układać zagadnień konspektowo, przyjrzyjmy się raczej ich życiowym splotom.

Uchwała KERMU zalicza Kudowę do rangi uzdrawisk międzynarodowych. To jest bardzo zaszczytne i to obowiązuje. Toteż aktywiści-kudowianie są szczególnie uczuleni na nieuporządkowanie niektórych spraw. Uzdrawisko nie ma statutu, co nie ułatwia działalności w poszczególnych dziedzinach. Mimo dobrej woli działaczy, wyczuwają się pewne konflikty, rzecz można żywiłowe, pomiędzy interesami lecznictwa a wczasów, wczasów a turystyki, wczasów a kolonii letnich.

Powiedzmy od razu wyraźnie: kudowanie nie proszą dziennikarzy o reklamę ich uzdrawiska, tylko o zwrócenie uwagi na sytuację, jaka się u nich wytworzyła na skutek już uzyskanej popularności. Z analogiczną prośbą spotkał się w innych znaczących ośrodkach kuracyjnych.

Kłopoty zaczynają się prawie wszędzie od spraw lokalowych.

Powstało tu błędne koło.

W Kudowie wielki gmach dawnego hotelu „Polonia” zamieniono w Sanatorium II, zubożając w ten sposób możliwości noclegowe turystów krajowych i zagranicznych. Ogółem jest tutaj 6 sanatoriów, w tym jedno dziecięce. Miejsca w nich nie zawsze są wykorzystywane racjonalnie. Trzeba przeto apelować do lekarzy decydujących o skierowaniach ze związków zawodowych, by stosowali owe skierowania w sposób bardziej ogłędny. Dotychczasowa praktyka wykazała, że do sanatoriów trafiają niekiedy ludzie nie potrzebujący reżymu sanatoryjnego. Lekarze uzdrawiskowi są jednomyślni w zdaniu, iż należałoby zdecydowanie dążyć do stworzenia jak najlepszych warunków dla lecznictwa ambulatoryjnego.

Kudowa dysponuje przeszło 500 miejscami na trzytygodniowe wczasy lecznicze, oprócz przeszło tysiąca miejsc na dwutygodniowe wczasy wypoczynkowe. Wszystko to nie zaspokaja popytu, w dużym stopniu dlatego, że niektórych lokali nie wykorzystuje się regularnie przez cały rok. Przed kilkunastu laty, kiedy chodziło o szybkie zagospodarowanie uzdrawisk sudeckich, oddawano wolne domy placówkom przyrzekającym otoczyć je opieką. Stąd dzisiaj wielki nonsens: obiekty kolonijne zamknięte na wszystkie spusty przez 10 miesięcy.

Druga anomalia: Fundusz Wczasów pozajmował domy nadające się szczególnie na hotele turystyczne. W Łądku np. konflikt pomiędzy FWP a PTTK ujawnił się nam konkretnie w postaci sporu o domy „Sielanka” i „Widok”. Dziennikarze, na zaproszenie zainteresowanych, dokonali „wizji lokalnej” i wypowiedzieli się za przekazaniem „Widoku” (nomen omen) na cele turystyczne. Czy to poskutkuje — nie wiem.

Najbardziej poszkodowani w tych warunkach są oczywiście turyści.

W okresie wyprawy dziennikarskiej, o której mowa, wielką troskę budził zbliżający się nieuchronnie termin otwarcia granicy w myśl umowy turystycznej podpisanej z Czechosłowacją. Od tego momentu upłynęło kilka tygodni, sądziłam więc, że niektóre niepokojące rzeczy już się zdezaktualizowały, że wszystko zostało w krytycznej chwili dopięte na ostatni guzik. Tymczasem w „Ekspressie Wieczornym” z 11 bm. ukazuje się nagłe artykuł wymienianego przez nas z uznaniem A. Koźmińskiego — srogi artykuł pt. „Turyści nie mają gdzie spać, a część domów świeci pustkami. Postulujemy weryfikację użytkowania obiektów wypoczynkowych”.

A więc miałam rację: przejechać si-raz jednym ciągiem po ziemi kłodzkiej, bystrzyckiej, jeleniogórskiej — to mało, są bowiem sprawy załatwiane przewlekłe, gdyż trzeba sięgać do korzeni tkwiących w różnych resortach centralnych.

Podobno na województwo wrocławskie przypada około połowy miejsc wczasowych w całej Polsce. Nie dziwota zatem, że właściwie najmocniejszym kontrahentem w omawianych miejscowościach kuracyjnych stał się FWP. Ma też lwia dółkę kłopotów w zakresie remontu domów, który trzeba przeprowadzić pod hasłem modernizacji.

Ale potrzeby turystów muszą być zaspokojone nie tyle za pomocą inwestowania w nowe budownictwo, ile przez rozsądne wykorzystanie tego, co jest.

Powyzsze uwagi odnoszą się oczywiście nie tylko do Kudowy, lecz w mniejszej lub większej mierze i do Dusznik czy Polanicy, Łądku, Szczawna lub innych uzdrawisk sudeckich.

Drugie kluczowe zagadnienie stanowi tu komunikacja. Bez wielu słów należy chyba przyznać słusność tym, którzy uważają, że do regionów turystycznych powinno się stosować pod tym względem pewne uprzywilejowanie finansowe, pozwalające na rychłą naprawę bardziej uczęszczanych szlaków. Na czoło zadań wysuwałoby się dokończenie budowy „Autostrady Sudeckiej”.

W teście Kudowie ujawniły się jeszcze kłopoty pozornie drobniejsze, lecz nie mniej dokuczliwe, — dość charakterystyczne i dla niektórych innych uzdrawisk. Jednym z nich była okresowy niedobór wody gospodarczej (wiem o tym z autopsji, jakoż po Dusznikach przechadzałam się cały dzień nieumyta, co sobie zresztą powetowałam nazajutrz pyszną kąpielą kwasową). Ponoć dostawa wody słodkiej urosła do rozmiarów problemu wskutek opieszalności biura projektów — relata refero.

Są zakłócenia w dostawie energii elektrycznej, gazu, dystrybucja artykułów żywnościowych i przemysłowych szwankuje, personel zakładów gastronomicznych wymaga doszkolenia i co ważniejsze — brak mieszkań powoduje z kolei niedostateczną obsadę stanowisk lekarzy i pielęgniarek.

*

MOŻNA BY sporządzić w ten sposób długą listę braków, mankamentów i usterek. Chodzi jednak o obraz terenu widziany obiektywnie. A więc co? Zastój czy rozwój? Rozwój, bez kwestii rozwoju. I mimo przewlekłości w załatwianiu poszczególnych spraw, ogólne dzisiejsze tempo jest szybkie. Po dłuższym okresie inkubacyjnym, wszystko nagle w ostatnich latach puszło z miejsca.

Teatr Chopina w dusznickim parku zdrojowym



Przypominam myśliwca, co Dianę zoczył,
Czysta, ale okrutną w jej zgubnej nagości;
Bo psy jej rozszarpały mu ciało do kości:
Taka droga zaplata za widok uroczy.

Jak człowiek często sam bezmyślnie w śmierć się
toczy!

I ja drogo okupić muszę przyjemności:
Na tysiąc części rwie mnie obraz twej piękności.
Bodaj go nigdy moje nie ujrzały oczy!

Myśli, żądza, nadzieje i ciągła obawa
To są te psy miłosne, me serce — ich strawa,
Rwą lędźwia mi, dopadłszy mnie sforą natrętną.

Na próżno wołam do nich: Puściecie, ledwo dyszę!
Wszak jestem waszym panem! W odpowiedzi słyszę:
Za taką cenę widzi się wielką boginię.

O samym sobie

Ja już nie jestem tym, czym byłem,
Czym mogłem być, nie będę nigdy,
Rozkoszna wiosna, lato młode,
Dały już susa, ślad ich glinie,
Służyłem wiernie ci, mistrzyni,
Miłości, nigdy cię nie zwodził,
Jakbym tej służbie zadość czynił,
Gdybym raz drugi się urodził!

Odpowiedź
na poprzednie

Nie trać otuchy i bądź śmiały!
Wiek młody to niewielka strata,
Twój jest dojrzały, bardziej stały
Niż niewytrawne młode lata.
Pak róży, kwiat jej w pełni lata
Latwo przemija, szybko kona,
Lecz zielen liści jej bogata,
Daleko dłużej trwa niż ona.

rowo rozegrał Kazimierz Kurek, wyróżniając się czystą dykcją; Januszowi Cywińskiemu skreślenia dokonane w tekście odjęły całą jowialno-rodzajową stronę roli, każąc mu wygrać tylko gwałtowność ojca Kapuleta. Witold Lisowski nie bez sily komicznej połączył dwie postacie: Pietrka i Samsona; majestat księcia prezentował Andrzej Chmielarczyk; przyjęta koncepcja nie dawała większego pola do popisu paniom Marii Góreckiej (matka Julii) i Danucie Kolaszyńskiej (matka Romea ani Ryszardowi Kolaszyńskiemu (stary Montag). Szkoda, iż ani reżyser, ani aktorzy nie postarali się o nadanie odpowiedniej rangi bratu Laurentemu, tej postaci, stanowiącej niejako wcielenie przypadku, rządzącego szekspirowskim światem; uprawdopodobnienie psychologiczne tej postaci i wydobycie jej sensu filozoficznego jest istotnym problemem inscenizacyjnym sztuki.

Scenografia Liliany Jankowskiej i Antoniego Toasty — interesująca w swym nawiązaniu do sceny elżbietańskiej, mniej szczęśliwa w realizacji, zbyt oszła, wręcz niefortunną w pewnych szczegółach, jak pasukudny balkonik, jak skłócona stylizacyjnie z resztą maska Świętego Franciszka (?). Wydaje się, że Jankowska i Toasty, scenografowie o wyobraźni par excellence współczesnej, z pewnym trudem naginają się do wymogów stylizacji, jakie stawia repertuar wielkich klasyków.

* * *

PÓŻNA premiera „Romea i Julii” uwieńczyła sezon obecny i zainauguruje następny. Jak ukształtuje się repertuar tego następnego sezonu? Red. Korneluk na łamach „Sztandaru Ludu”, a dyrektor Toronczyk na spotkaniu kierowników placówek kulturalnych z prasą — apelo-

konceptje: socjologiczne odczytanie sztuki jako dramatu harmonijnych uczuć w dysharmonijnym świecie feudalnych obyczajów, a obok tego — niepokojąca wizja świata, rządzonego przez zawzięty los i ślepy przypadek. Uwydatnienie tyrańskich zapędów staro Kapuleta, wyakcentowanie sprawy wymuszonego na Julii małżeństwa — przemawiałoby za pierwszą koncepcją. Ale cała konsekwentnie przeprowadzona rola samej Julii kieruje myśl widza od socjologii do eschatologii, od spraw społeczno-obyczajowych do rzeczy

Eleonora Ossowska (Nienia), Zofia Bajuk (Julia) i Janusz Cywiński (Kapulet)



ostatycznych. Może zresztą przeważała tu szalona indywidualność aktorki grającej Julię. Zofia Bajuk dała wizję Julii bardzo własną i bardzo szlachetną. Jej Julia to siostra Ofelii, zjawisko dziewczęce, wiotkie, nieomal beczelne, a przy tym od początku napiętnowane znamię tragicznego przeznaczenia. Uczucie jej do Romea to sprawa raczej intelektu i serca niż zmysłów, nie ma między nimi „zaczadzenia”, jest powinowactwo istot wybranych przez los, przeznaczonych sobie i śmierci. Julia Bajukówny jest prosta skupiona, przejmująca w scenie trwogi bliskiej ołędu, pięknie liryczna w rozegraniu balkonowego dialogu. Partnerem Bajukówny jako Romeo jest Jan Machulski. Po tym utalentowanym aktorze, beniaminku sceny lubelskiej, oczekiwaliśmy wiele i może stąd uczucie pewnego zawodu. Machulski gra Romea z właściwym sobie wdziękiem i kulturą sceniczną, ale brak mu wewnętrznego napięcia, bez którego nie ma Romea, nie została też w pełni wydobytą uderzająca ewolucja, jaką przechodzi adorator Rozaliny i małż Julii: od zadurzonego dosyć cięłego i bardzo po literacku młodzieniaszka po dojrzałego w miłości i cierpieniu zrozpaczonego mężczyznę — „a desperate man”. W znanej piosence śpiewa się o Romeu gorzkim, Machulski pozostawia wrażenie Romea znużonego. Zresztą trzeba powiedzieć, że ma prawo do zmęczenia po sezonie bardzo dla niego pracowitym i owocnym, po wyczerpującej roli Długiego w „Archaniołach”, po podjętej wśród czerwcowych upałów infematywie „Reduty 61”. Soczystą postacią zarysowała Eleonora Ossowska, rolę Merkucja — zwłaszcza monolog o królowej Mab — brawu-

wali o dyskusję nad zasadniczym problemem repertuarowym lubelskiego teatru. I „Kamena” nieraz już sygnalizowała tę trudność, która wynika z istnienia jednej tylko (w tej chwili półtorojej) sceny przy niezwykle zróżnicowanej widowni samego Lublina i obsługiwanego przez teatr terenu. W danych warunkach, w przewlekłym oczekiwaniu na rozbudowę scen, ta sprawa traci kwadraturę koła. Jak pogodzić potrzeby tak różnych widzów, ambie teatru, plany finansowe? Osobiście wydaje mi się, że idealnego rozwiązania teatr — ani nikt inny — nie znajdzie, bo go znaleźć nie można. Czy stawiać na Lublin, czy na teren, na upowszechnienie czy na wartości kulturowe? Chyba na jedno i na drugie, przy czym widziałabym tu jedną generalną wytyczną kierunkową: wielki repertuar, bodaj za cenę cięć ilościowych, bo tylko wielki repertuar ma szansę trafienia zarówno do widza wyrobionego, jak do tego, który przyswaja sobie ABC teatru. Wielki repertuar narodowy, w ostatnich latach za mało reprezentowany na scenie lubelskiej (Zeromski-dramaturg to mimo wszystko tylko namiastka Mickiewicza czy Wyspiańskiego), wielki repertuar powszechny. Oczywiście szcze gółowe porcje można proponować tylko z pełną znajomością układu stosunków wewnątrz-teatralnych, ale chciałabym wspomnieć się o dwóch nazwiskach: Brecht i Shaw. Dlaczego Brecht — nie trzeba uzasadniać. Co do Shawa — wydaje się, że w warunkach lubelskich sztuki jego byłyby pozycją równie potrzebną ideowo, jak użyteczną kasowo: nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że w Danucie Nagór-

(Dokończenie na str. 15)

Z Teatru im. Osterwy

JULIA, ROMEO I PROPOZYCJE

ANNA TATARKIEWICZ

Fiar Laurence: These violent delights have violent ends — Act II, sc. VI

Romeo: O! I am Fortune fool — Act III, sc. I

Romeo: Good gentle youth, tempt not a desperate man — Act V, sc. III

Szekspir to dla widzów zawsze wielkie wydarzenie, dla teatru wielka próba sił. Z tej próby scena lubelska wyszła z honorem. Spektakl nie jest co prawda jakąś rewelacją, ale też nie przynosił ujemnego skądinąd sezonu. Przedstawienie jest kulturalne, aczkolwiek nieco

blade: nie tyle pełny obraz, co szkice kompozycji, w której pewne postacie i postawy zostały tylko zaznaczone, zamarkowane, nie wyciągnięte do końca. Może z winy tej szkicowości koncepcja reżyserska nie rysuje się dość przejrzyście. Nie ulega wątpliwości, że reżyser, Jerzy Zegalski, świadomie wyluskuje tragedię z otoczki rodzajowej, kameralizuje całą rzecz, skupia uwagę na głównych bohaterach, rezygnuje z renesansowej bujności, sięga po inspirację do współczesnego teatru idei. Ale brak precyzji w rozłożeniu akcentów utrudnia dalsze rozszyfrowanie zasadniczych założeń. W przedstawieniu spierają się jakby dwie

Wygłąda to na paradoks, lecz tak się rzeczy mają w istocie: trudności, o których tu wspomniano, stworzyła jedna ze zdobyczy Polski Ludowej — upowszechnienie leżnictwa, wczasów i turystyki. W chwili obecnej toczy się bitwa o podniesienie podaży do poziomu popytu. Zresztą jest to walka na szerokim froncie, nie tylko w Sudetach. Kto nie stoi w miejscu, ten ją wygrywa.

Nie mam czasowych kryteriów porównawczych w stosunku do ziemi kłodzkiej czy bystrzyckiej, byłam tu teraz po raz pierwszy (bo nie liczy się pobyt dziecka w „Bad Reinerz”, „Landeck” i „Zalzbrenn”). Wyczułam jednak tutaj silnie bijące tętno nowego życia. Ogromnie cenne jest powstanie mocnych grup aktywistów-patriotów tych ziem. To samo można powiedzieć o Jeleniej Górze i należących do jej gestii miejscowościach wczasowych. Zwiedziłam je po wojnie kilkakrotnie. Ostatnio bodaj osiem lat temu. Jakaż zmiana na korzyść! Wszędzie tu obserwuje się dzisiaj gospodarność, nieodłączną cechą zasiedloności. Metamorfoza, która zaszła w psychice mieszkańców województwa wrocławskiego, znajduje wyraz w różnych dokonaniach, większych lub mniejszych, jak wyposażenie wielu sanatoriów, wyremontowanie licznych domów wczasowych, tu zbudowanie wyciągu krzeselkowego, tam oczyszczenie stawu z 17 tysięcy m³ szlamu, w Jeleniej Górze — utworzenie PPUT, Powiatowego Przedsiębiorstwa Usług Turystycznych, do którego należy m. in. autokar obwozujący nas po ziemi kłodzkiej, bystrzyckiej i jeleniogórskiej. — a także hotel turystyczny „Orlik”, gdzie odbywaliśmy 5-godzinną finalną naradę prasową...

Każda z widzianych miejscowości kuracyjnych ma kilku gospodarzy: władze powiatowe, dyrekcję uzdrowiska, FWP, PTTK. Już przy pierwszym zetknięciu się z przedstawicielami różnych instytucji i placówek nietrudno stwierdzić istnienie pewnej konkurencji. Jednakże wydaje mi się, że patriotyzm lokalny nauczył ich wspólnego języka.

Patrioci sudeccy są niecierpliwi, pragnęliby pokonać swoje trudności jak najprędzej. Stąd apel do dziennikarzy, by pisali, pisali i pisali o ich bolącz-

kach. Istotnie głos prasy, przy odpowiednim fachowym rozeznaniu, bywa dzisiaj nieraz pomocny w szturmie do niedobrych pozycji. Niemniej sądzę, iż bardzo skuteczne mogłyby być skądinąd centralne konferencje międzyresortowe z udziałem zainteresowanych działaczy lokalnych. Byłaby to właściwa instancja „apelacyjna” w wypadkach, kiedy teren sam nie jest w stanie rozsupłać zagmatwanej sprawy.

*

OSOBISZCIE pozwolę sobie z kolei skierować apel do zasłużonych, miłych, gościnnych gospodarzy ziem — kłodzkiej, bystrzyckiej i jeleniogórskiej. Chcę ich prosić, by starali się o wykwalifikowanych przewodników, by kolatali do wydawnictw o obfitsze przewodniki (i o mapy), by zawarli umowy z Cepelią na dostawę estetycznych pamiętek, ażeby w Dusznikach nie straszły drzewniane kraśnoludki i potworne gipsowe popiersia Chopina. I wreszcie: by poskromili czym prędzej szal „koloryzmu”, który każe nawet ludziom wsiowym malować każdy kołek w płotku na inną barwę. Zaprawdę do awangardy nie trafia się przez lakier!

Maria Bechzyć-Rudnicka



Szkola, która przeobraża wieś

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

EWOPOLE leży na uboczu od głównego traktu. Wieś to nie duża i uboga. Ziemia tu piaszczysta, nieurodzajna. Trzeba dobrze namozić się, by wydrzeć jej jakie takie plony.

Kolej nie dociera do Ewopola, ani nie dojeżdżają tam autobusy. Najbliższa stacja to Trawniki. Niezbyt tam co prawda daleko — kilka kilometrów, jednak żeby dostać się do szosy prowadzącej do Trawnik, trzeba przebrnąć przez głębokie płachy.

Zycie w wiosce płynęło leniwym nurtem, nie się tam nie działo — żadnej rozrywki, żadnego urozmaicenia. Nawet kino objazdowe omijało Ewopole. Bo i po co miało przyjeżdżać, skoro nie było tam żadnego pomieszczenia, gdzie można by wyświetlać filmy.

Nudzili się więc dorośli, nudzili się przede wszystkim młodzi. Ani świetlicy, ani nawet większej jakiegokolwiek izby, gdzie mogliby się schodzić, coś organizować — robić!

Kiedy było ciepło na dworze, to jeszcze pół biedy, można było zbierać się na wolnym powietrzu, żeby porozmawiać o tym i o tym, pospiewać razem, czasem i potańczyć. Gorzej gdy przychodziły jesienne deszcze i długie zimowe wieczory. Wtedy po robocie naprawdę nie wiadomo było co zrobić z wolnym czasem.

Przecież zapewne jest w Ewopolu szkoła, gdzie powinno koncentrować

się życie wioski? Owszem szkoła jest — mieści się w małej, odnajmowanej u jednego z chłopów izbie, gdzie z trudem gnieździ się w czasie lekcji kilkanaścioro dzieci.

Trzeba naprawdę wielkiego samozaparcia by chcieć w takich warunkach je uczyć. Stanisława Krukowska chciała.

Kiedy przed 12 laty przyjechała do Ewopola, zdawało jej się, że nie wytrzyma tam nawet miesiąca. Wytrzymała całe długie lata. Było jej ciężko, bardzo ciężko. Nieraz gdy zmęczona wracała po pracy do swojej mikroskopijnej izdebki, gdzie nie ma nawet podłogi i dosłownie nie ma się gdzie obrócić, gdyż miejsca starczy zaledwie na łóżko i stolik do pracy, brała ją ochota rzucić to wszystko i uciec stamtąd. Przecież mogła znaleźć pracę gdzie indziej, gdzie byłby budynek szkolny i miałyby ludzkie mieszkanie — normalne warunki życia i pracy. Za każdym jednak razem szybko zarzucała tę myśl. Żal jej było rozstać się z dziećmi, z ludźmi, z którymi się żyła. Szanowali ją, szukali u niej rady w trudnych sprawach, uważali ją za swoją, a co najważniejsze potrzebowali jej. Tak mijaly lata i nic się w wiosce nie zmieniło.

Aż tu, niedługo jakoś po rzuceniu przez tow. Gomulkę hasła „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, zaczęto w Ewopole mówić o budowie szkoły. Radzono o tym po chałupach — wszędzie. Wystarczyło, by się spotkało dwóch sąsiadów, a już rozprawiali o tej „swojej” szkole. Ludzi we wsi jakby ogarnęła jakaś gorączka — nie potrafili już o niczym mówić, żeby nie zahaczyć o szkołę. Miała być zresztą nieduża: jedna, ale przestronna, widna i słoneczna izba lekcyjna. Na więcej nie było ich przecież stać. Niechaj będzie i mała — mówili — była była swoja własna — prawdziwa. Tak oto narodził się w Ewopolu Komitet Budowy Szkoły.

W tym czasie powstała tam też grupa partyjna. Nie był to chyba przypadek, że do partii wstąpili właśnie ci, którzy najbardziej zaangażowali się w sprawę szkoły.

Wieś zabrała się z zapalem do rea-

PRZEGLĄD LITERACKI

(Dokończenie ze str. 7)

García Lorca: jest to, być może, główny, ale nie jedyny patron tego ciekawego debiutu. Kościński próbuje świata, wyobraźni, różnych możliwości lirycznych dosyć gwałtownie i niecierpliwie: porzucił ułożony po Staffowsku rytm i strofę „Sonetu bezładnego” dla nerwowo kopującego Różewiczowskie „czwarte metrum”. „Błędu”, nadaje historyczne, epickie wymiary „Zamocniowi” i „Wspomnieniu z roku 1944”, ale i przesyca „Życie” smakującą w filozoficznych abstraktach refleksją. Odnajduje jednak wspólny mianownik tych, zdawałoby się, wzajemnie wykluczających się i znoszących działań poetyckich na „Meteorach” — jest nim traktowanie liryki jako z trudem

lizacji swoich zamierzeń. Postanowiono opodatkować się w wysokości 200 zł od rodziny, oddać na rzecz budowy szkoły 10, co przypadało z dochodów na każdego członka Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” itd. Niezależnie od tego mieszkańcy Ewopola zobowiązali się dostarczyć kamień, niefachową robociznę, transport itp.

Opodatkowała się również nauczycielka. Wpłaciła o 150 procent więcej niż wszyscy inni. Dla niej szkoła, która miała powstać oznaczała tak wiele. Była nie tylko zapowiedzią należytych warunków pracy, ale urosła po prostu do symbolu nagrody za te wszystkie ciężkie lata, była dowodem, że nie zostały zmarnowane.

Do robót ziemnych ruszyła dosłownie cała wieś. Kto tylko był zdolny utrzymać w ręku kilof lub łopatę szedł do pracy. Szybko uporano się z fundamentami.

Któregoś dnia, późnym wieczorem, przyszedł do nauczycielki członek Komitetu Budowy Szkoły. Prosił, by napisała jak umie najładniej, na najlepszym papierze, jaki tylko znajdzie, i żeby ozdobiła złotą i srebrną farbą zaproszenia do I sekretarza Komitetu

(Dokończenie na str. 15)

doskonałego narzędzia pomiarowa i użycia światła według niekiedy eschatologicznych („Półdziemy”), czasem historycznych („Białe noce nadbużańskie”), a czasem tylko malarskich („Impresje prowincjonalne”) przesłanki i propozycji. Słychać w tych poszukiwaniach niekiedy echo buntu przeciw środowisku i krajobrazowi, do którego życie przypisało poetę; zwłaszcza pod takim względem Kościński spokrewnia się z młoczącą się z kompleksami prowincjonalizmu znaczną grupą mieszkających daleko od Warszawy i Krakowa poetów swojego pokolenia, od której jednak wyróżnia się korzystnie sporą konsekwencją w autentyczności i dyskrekcji obranej dla tych tematów treści i formy. Inna sprawa, że najtrudniej spośród omawianych tutaj poetów lubelskich wyróżzyć o lirycznej przyszłości, właśnie autora „Meteorów”; okazał ją chyba, jak zwykło w takich wypadkach, drugi tomik Zbigniewa Kościńskiego.

NATOMIAST „Trzeci świat” Jerzego Kościńskiego prezentuje wyraźniej zdefiniowany i ukształtowany typ wyobraźni lirycznej. I tutaj — częściej zresztą aniżeli u Kościńskiego — występuje jako patron García Lorca, ale obok niego uśmiecha się Galczyński, przypomina Tuwim, przewija się cieniem Leśmian. Poeci ci nie szukają debiutu Kościńskiego na ślaskie wpływy i koneksje, ale kształtują charakterystyczną dla „Trzeciego świata” groteskę fantastyczną, rozjaśnioną humorem, stonowaną sentymentem. Wydawałoby się, że jest to poetycka moneta, najmniej odpowiedzialna do spłacania nią długu wobec rodzinnego miasta i krajobrazu, przeczy jednak takiej supozycji „Młasto bez domów”, może zbytnio przyprózone nalożem melancholii, niemniej o rysunku autentyzmem i wzruszającym. Uczniów Galczyńskiego i jego antenatów mamy w Polsce obecnie legiony, jednakże Kościński (dowodzi tego m. in. „Młasto bez domów”) wyróżnia się wśród nich korzystnie spokojną i trafną adaptacją środków wypracowanych przez snycera „Kolejników Izolacji” dla tematów i wątków — by tak rzec — kameralnych. Autorowi „Nasturcji” obca jest wybuchająca w fantazyjnych kształtach kolorystycznych orgia, czy feria wyobraźni. Kościński woli takie impulsy miarkować i eksplloatować w lirycznych miniaturach, nie cofając się zresztą w ich ramach przed ironizującym szeptem historycznego pamfletu („Biała broń” i „Kontredans” z „Krajobrazów”). Z tego względu „Trzeci świat” Kościńskiego wydaje się propozycją liryczną, szczególnie uwierzytelniającą perspektywę także i młodego Lublina poetyckiego na — zacierającej wreszcie podział na Polskę A i B — mapie literackiej naszego kraju.

Zbigniew Pędziński

Helena Piłta: „Dachy Lublina”. Lublin 1960, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza; Maria Szczepowska: „Tarnina”. J. w.; Zbigniew Kościński: „Meteory”. J. w.; Jerzy Kościński: „Trzeci świat”. J. w.

U „BIBLIOFILA” można zawsze dostać książki, które zostały już wyczerpane. Potrafi szukać ich godzinami po księgarniach, wyciągać z magazynów. Później z niewinną miną pyta zatrzymujących się przed okienkiem jego kiosku klientów: — „Ma pan już ostatniego Huxley’a?”, A kiedy zapytany wyszarpuje już z kieszeni portfel, zagaduje: „Interesujący jest ten Mrozek... — „Jaki?” — „Karol”, w najnowszym „Dialogu”. — To i „Dialog” może pan ma? — „Oczywiście”.

Kiedy przewali się strumień kupujących „Kullisy”, „Nową wieś” i „Przyjaciółkę”, „dziesięćsportisztandar ludu”, kiedy jest chwila wytchnienia, można z dzierzawcą kiosku przy zbiegu Alej Raclawickich i ulicy Godebskiego dyskutować o literaturze, omawiać się najświeższe nowości wydawnicze, tomiki poetyckie. Starzy klienci zamawiają w tym czasie książki, na które „mają oko”, bibliofile wyciągają z teczek pieczęlowicie opakowane białe kruki na „wymianę”.

Kioskarze mają różne hobby. Przed wojną w kioskach siedzieli przeważnie starszycy weterani, jacyś bohaterowie z wojny rosyjsko-japońskiej opowiadający godzinami o „batalii”, pan Kalodot z powieści Tyrmanda miał zamiłowanie do pirrotechniki. — Jan Bidacha, zwany „Bibliofilem” — zbiera książki.

Zawsze uśmiechnięty, dobrze już szpakowaty pan, znany jest nie tylko jako właściciel interesującej biblioteki złożonej z pięciu tysięcy tomów, ale również jako doskonały gawędziarz i człowiek, który z niejednego pieca chleb jada.

NA parapecie okna „Pradzieje ludzkości i historia państw Wschodu”, na stole „Dusza i taniec” Paula Valery’ego, w tapczanie Steinbeck i Proust, Rilke i Kafka, w pięciu szafach, w przedpokoju, kuchni i w... łazience proza i poezja, klasyka i „współcześni”.

Małe, broszurowe tomiki Wydawnictwa „Ignis” z lat dwudziestych, „Karmazynowy Poemat” Lechonia, „Rzeczpospolita Babińska”, „Srebrne i czarne”. Osobno leżąca sterta książek — to pisarze i poeci lubelscy. — „Kto w tej chwili prosił pana — mówi z dumą „Bibliofil” — ma „Spotkanie z brzoza” Bronisława Michalskiego, albo „Wczoraj” tego samego autora, rzecz wydaną nakładem Związku Literatów w Lublinie?

— „Kto z młodych zna skamandrytę Feliksa Przywieckiego? Napisał tylko kilka wierszyków, ale dzięki tym kilku wierszykom wszedł do literatury. O proszę, tacy „Dziwacy” z jego „Śpiewu w ciemnościach”:

Jest jedna zapomniana na świecie rodzina
Zbłąkanych emigrantów z dali świętych łądów,
Żadna kronika nigdzie o nich nie wspomina
Nikt nie zna ich szalonych dziwacznych poglądów.
Jesteście zapomnianą na mapie krainą,
Błądzącą po tym świecie legendą i wieścią,
Świętym portem dla marzeń, które w życiu giną,
Jesteście zaginioną cudowną powieścią.

Mój rozmówca zaferowany biega od jednej szafy do drugiej, wyciąga coraz to inne tomy, przysłada się

na chwilę do mnie, to znów ginie gdzieś we wnętrzu szafy albo tapczanu. W dwóch pokojach z kuchnią panuje niepodzielnie książka. Pytam, od kiedy zaczął zbierać książki. „Widzi pan, to jeszcze w gimnazjum a później w Warszawie na studiach”. — „Na studiach? Tyle lat pana znam, a nie wiedziałem...” — „A tak — uśmiecha się „Bibliofil” — „studlowałem kiedyś polonistykę. Później zresztą przerzuciłem się na socjologię. Skończyłem sekcję historii kultury, pracę magisterską

„BIBLIOFIL”

MIROSLAW DERECKI

„O podstawach pozytywizmu u Comte’a” pisałem w 1937 roku u profesora Bystronia”. „Dlaczego zamiast pracować w swoim zawodzie dzierzawcę kiosku? Różne są tego przyczyny. Między innymi i ta, że tutaj jestem „bliżej książek”.

WDZIECIŃSTWIE Jan Bidacha pasł krowy w rodzinnej wsi Karczewice koło Poniatowej. Później postanowił „wyjść na ludzi”. W 1920 roku, przygotowawszy się samodzielnie do egzaminu wstępnego, przyjechał do Lublina i zaczął uczęszczać do znanej Szkoły Lubelskiej, w której gmachu mieści się obecnie Collegium Anatomikum Akademii Medycznej. Jego kolega ze szkolnej ławy — Mieczysław Stelmasiak, po kilkunastu latach, w tym samym budynku prowadzi Zakład Anatomii Prawidłowej Człowieka, jest profesorem i rektorem Akademii Medycznej w Lublinie. Inny kolega — Józef Świątek jest obecnie znanym w Lublinie lekarzem.

„Jak przyszedłem do szkoły, to nienawidziłem książek — po co czytać?”

O wiele przyjemniej było uganiać się po podmiejskich łąkach. Dopiero kiedy musiał jako lekturę obowiązkową przeczytać Trylogię Sienkiewicza...

Od tego czasu świat straciłby dla mnie cały urok, gdyby nie było książki... Jak było dalej? No cóż, z piątej klasy wywalił za „grzechy młodości”, przez dwa lata chodziłem do gimnazjum w Radzynie Podlaskim, ale po otrzymaniu promocji do klasy ósmej, postanowiłem przenieść się do innej szkoły.

W czasie wakacji Jan Bidacha wyjechał do Warszawy. W tramwaju przypadkowo zobaczył ogłoszenie: „Gimnazjum Warzykowskiego przyjmuje do wszystkich klas”. Maturę zdał w 1929 roku. W 1931 zapisał się na Uniwersytet Warszawski na polonistykę.

Tym razem jego kolegami już z „ławy uniwersyteckiej” byli Stefan Otwinowski, Józef Stachowski, Jan

Aleksander Król, Zbigniew Pękoślowski i Julian Rogoziński. Nieco starszy Stefan Zołkiewski był w tych czasach prezesem Koła Polonistów. Z profesorów, „Bibliofil” wymienia prof. Guńrownicza, Konrada Górskiego, Mieczysława Hartleba, światowej sławy hellenistę Tadeusza Zielińskiego.

Od czasu do czasu studentom udawało się dostać na posiedzenia Akademii Literatury. Poza interesującymi odczytami i dyskusjami, poza możliwością osobistego poznania sławnych ludzi takich, jak Leśmian, Kleiner czy Makuszyński, dla biednych studentów nie lada atrakcją były także wspaniałe przyjęcia, które nieodwrotnie towarzyszyły każdemu posiedzeniu. Tym bardziej, że skromne zarobki (studując pracował jednocześnie w biurze) zamiast na jedzenie, często wydawało się na książki.

Z tamtych czasów Jan Bidacha wspomina świetną historię, której bohaterami byli Staff i Wierzyński. Któregoś dnia, Wierzyński przyniósł Staffowi swój nowo wydany tomik poezji „Wróble na dachu” prosiąc o ocenę. Staff z chęcią zgodził się przeczytać wiersze, ale odłożył tomik gdzieś na bok i już po chwili całkowicie o nim zapomniał. Gdy po upływie kilku miesięcy Wierzyński ciągle nie mógł usłyszeć ani słów uznania, ani nawet ostrej krytyki, poczuł się tak dotknięty, że przestał się Staffowi kłaniać. Przypadkiem Staff natknął się w swojej bibliotece na zapomniany nieszczytny tomik wierszy, przeczytał go — wiersze zrobiły na nim kolosalne wrażenie. Spotkawszy przypadkowo na Nowym Świecie Wierzyńskiego — ten oczywiście udawał że patrzy w przeciwnym kierunku, chwycił go za rękę i krzyknął wielkim głosem: — „Chłopce, masz talent!” Wierzyński zapomniał w jednej chwili o swoich urazach, z radością porwał Staffa w objęcia i zaczął z nim na ulicy tańczyć.

GRAMATYKA starocerkiewno-słowiańska spowodowała, że Jan Bidacha zrezygnował z polonistyki i przeniósł się na socjologię. Po jej ukończeniu zanim dobrze rozejrział się za pracą — wybuchła wojna. Jej lata spędził „Bibliofil” w partyzancie. Po ukończeniu wojny pracował w wielu instytucjach: w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, Polskich Zakładach Żywnościowych, DBOR i jako administrator w Teatrze Laiki i Aktora w Lublinie. Jakoś tak się składało, że w jego ankiecie personalnej nigdy „zawód wyuczony” nie pokrywał się z „zawodem wykonywanym”. Natomiast przez całe życie zbierał książki. Wreszcie osiadł w kiosku przy ulicy Godebskiego, żeby już nigdy z nim się nie rozstawać. Zbiera książki głównie z zakresu historii kultury i literaturę piękną. — „Wszystko co dobre”.

„Tak dużo opowiadam o mojej bibliotece. A właściwie jest to mówienie o pisarzach, z którymi się obcuje, których się ma na pewno „pod ręką”. I z wszystkimi nimi jest nam „dobrze”. To znaczy znajdujemy w nich przyjaciół, z którymi prowadzimy długie rozmowy, przyjaciół, którzy mogą nas podtrzymać w trudnej chwili życia. To nie jest biblioteka, to skład uczuć i myśli, z których możemy czerpać w ciągu całego życia”. (Jarosław Łomaskiewicz — „Gawęda o książkach i czytelnikach”).

W ROKU, w którym obchodzimy 300-lecie „Merkurysa Polskiego”, kiedy oceniamy historyczny dorobek prasy polskiej, kiedy przypominamy tytuły czasopism i nazwiska dziennikarzy, które na zawsze weszły do skarbcia narodowego piśmiennictwa — warto także zwrócić uwagę na czasopisma lokalne, ukazujące się kiedyś w małych ośrodkach, w cieniu wielkiej prasy. Miały one jakieś miejsce w życiu swoich środowisk, odzwierciedlały ich codzienne sprawy, a czasem próbowały nadawać im określony kierunek.

Chełm Lubelski był w okresie międzywojennym takim ośrodkiem. Wydawano tutaj kolejno lub równocześnie kilka czasopism, o których jeszcze pamięć nie zagaśnia. Miejscowi działacze kulturalni i oświatowi często powołują się na tę puściznę, jako godną kontynuacji. Poniższe pobeżne uwagi pomijają „Kamień”, która narodziła się w Chełmie, ale zajmuje całkowicie odrębne miejsce w dziejach prasy literackiej.

Próbę wydawania miejscowego czasopisma polskiego podjęto w Chełmie jeszcze w czasie okupacji niemiecko-austriackiej. Powstało pismo pod tytułem „Głos Ziemi Chełmskiej”. Ukazywało się ono dzięki staraniom sędziego Tadeusza Kozerskiego, bardzo ruchliwego działacza społecznego i Bolesława Piotrowskiego, zasłużonego księgarza chełmskiego. Po odzyskaniu niepodległości pismo zmieniło tytuł („Polak Kresowy”) i starło się docierać na tereny załużańskie. Przeszło wychodzić w roku 1919 lub 1920.

Z datą 1 stycznia 1923 r. ukazały się „Więści Chełmskie. Tygodnik polityczny, społeczny, kulturalny i ekonomiczny”. Pismo ukazywało się regularnie w ciągu kilku miesięcy, jednak zbyt pobeżne traktowanie spraw regionalnych musiało odbić się ujemnie na nakładzie i spowodowało upadek tygodnika, prawdopodobnie w czerwcu 1923 roku.

W lipcu tegoż roku ukazało się „Zwierciadło”, pismo poświęcone sprawom miejscowym”. Redaktorem i wydawcą był Kazimierz Czernicki.

Zamiłowanie do druku przywiózł z Mińska Mazowieckiego, gdzie próbował różnych imprez wydawniczych. „Zwierciadło” dysponowało dużym formatem, zamieszczało wiele ploteczek i miejscowych sensacji, wyraźnie — w odróżnieniu na przykład od „Więści Chełmskich” — starło się zdobyć szerokie kręgi czytelników. I rzeczywiście z miejsca zdobyło publiczność, stało się popularną, miejscową gazetą. Świadczy o tym chociażby nakład. Drukowano, jak wynika z pewnej wzmianki, 700 egzemplarzy, co nie jest wcale małą cyfrą, jeśli weźmiemy pod uwagę dwudziestokilkutysięczną ubogą ludność ówczesnego Chełma. Z czasem przyszyły i poważniejsze zainteresowania — życie polityczne, społeczne i kulturalne, wydawanie sądów we wszystkich ważnych dla miasta sprawach. Na pewno podtrzymywało to popularność tygodnika, ale zaczęły się konflikty. W 1926 roku, w dniach przewrotu majowego (Czernicki uważał się za pilsudczyka) miał miejsce zatarg ze starostą.

Czernicki, który wziął na siebie cały trud pisania gazety, w objętości liczonej, a czasem więcej stron (inne nazwiska jakoś niedługo gościły na jej łamach), nikogo ani niczego nie oszczędzał. Do dziś jeszcze się wspomina, że był to „trudny charakter”. Wytykał w „Zwierciadle” uchybienia zarówno szeregowego policjanta, jak i miejscowych dygnitarzy. Wygłaszał sądy o czynnościach magistrackich urzędników, o budźcie miasta i jego realizacji. Pokusił się o ocenianie pierwszych tomików poezji K. A. Jaworskiego i pierwszych numerów „Kamienia”. Operował ironią, a nawet zjadliwym sarkazmem, karykaturą. Taką polityką redakcyjną nastrożczała wiele trudności Czernickiemu osobiście i drukarni, której został właścicielem. Musiał znosić konfiskaty poszczególnych numerów, rozprawy sądowe, a raz miał czynną przeprowadz z dyrektorem Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego, Wiktoorem Ambroziewiczem, który zaatakowany — w ten sposób wymierzał sobie zadośćuczynienie. Drukarnia traciła klientelę, a nakład nie wystarczał na samodzielne utrzymanie pisma. Próba rozszerzenia oddziaływania na sąsiednie powiaty i miasta — Włodawę, Hrubieszów, Krasnostaw — nie powiodła się. Ukazało się zaledwie kilka numerów adresowanych także dla tych miejscowości. Chcąc nie chcąc, musiał Czernicki wrócić nad Uherkę, rzeczkę płynącą leniwie przez Chełm, nad którą „Zwierciadło” trwało już do końca swoich dni. Mając dość różnych przesądów, Czernicki zdecydował się, jak sam pisał, na „zwinienie chorągiew-

Prasa nad Uherką

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

ki, nie jest bowiem do pomyślenia w takim mieście jak Chełm wydawanie na dłuższą metę pisma wbrew władzom”. W 1927 roku była jedna przerwa, trzymiesięczna, zaś w 1932 roku „Zwierciadło” przestało wychodzić.

W latach 1925—6 notujemy „Chełmski Kurier Ilustrowany”, drukowany w Lublinie, później „Tygodnik Chełmski” i jeszcze raz „Głos Ziemi Chełmskiej”.



Czernicki odpoczął po kłopotach związanych z wydawaniem „Zwierciadła”, pokalkulował i spróbował jeszcze raz. Tym razem powstało coś, co nazwał dziennikiem. Zawarł umowę z wydawcą jakiegoś dziennika łódzkiego (na razie nie udało się dociec jakiego). Sprzedał do swojej drukarni pewną ilość tego dziennika z wolnym miejscem na tytuł: czystą jedną stronę, na której dawał materiał regionalny. Byłaby to więc swego rodzaju nutacja. W ten sposób 29 kwietnia 1934 roku miasto otrzymało dziennik „Echo Chełmskie”. W słowie od redakcji Czernicki napisał: „29 kwietnia 1934 roku. Historyczna dla Chełma data”. Pod tytułem „Echo Chełmskie” można było zobaczyć zdjęcie japońskiego następcy tronu, czytać w odcinku powieści Zarzyckiej i codzienne informacje z miast i okolicy. Z materiałów o trwałej wartości należy zanotować „Krótki zarys historii samorządu miejskiego w Chełmie” w 8 odcinkach, (czywiście pióra Kazimierza Czernickiego, 3 czerwca ukazał się 35 numer „Echa Chełmskiego” zawierający obok ogłoszeń jedyny artykuł pt. „Zamykamy sklepik. Chełm jeszcze nie dorósł, by mieć codzienną gazetę”. W następnych latach wydawał Czernicki od czasu do czasu jednodniówki i broszury polemiczne. To ruchliwe życie przerwała kula hitlerowska 14 lipca 1941 r.

Tytuł „Zwierciadło” dał się lepiej zapamiętać Chełmianom niż inny — „Kronika Nadbużańska”, który pojawił się w Chełmie w roku 1933. Pismo to miało zgoła inny charakter. Był to — można powiedzieć — organ półoficjalny, wyrażający opinie władz miejscowych. W celu wydania tygodnika powołano Stowarzyszenie Krzewienia Kultury Polskiej. Redaktorzy zmieniali się niemal z każdym numerem, ale pismo żyło ze wszystkimi w zgodzie, otrzymywało ogłoszenia sądowe i komornicze, a nakład rozprowadzano częściowo przy pomocy urzędowych zaleceń. W latach 1938—9 poszczególnie numery wychodziły w nakładzie 650, 750, 800, 1250, a nawet 2000 egzemplarzy. W tym ostatnim wypadku był to numer poświęcony jakiemuś świętu państwowemu. W ogóle w treści pisma przeważały poważne, państwowotwórcze tematy, zadawane najwidoczniej do pisania. Drukowano „Kronikę” u Czernickiego. Ostatni numer wyszedł w pierwszych dniach września 1939 r.

Może się więc Chełm pochwalić bez mała 20-letnią tradycją wydawania czasopism. Wielu szczegółów związa-

nych z tymi publikacjami nie da się dzisiaj ustalić. Nie wiadomo nawet, w jakim stopniu przetrwały różne numery i gdzie się znajdują. W Chełmie — w prywatnych rękach jest komplet „Zwierciadła”, a „Więści Chełmskie” i „Kronika Nadbużańska” — z niewielkimi brakami. O innych czasopismach, w szczególności o dwóch nie omawianych tutaj gazetach w języku żydowskim i o ukraińskim organie „Nasze Zytia” mamy wiadomości tylko pośrednie. Wszystkie te pisma mają dzisiaj spore znaczenie dla historii Chełma w okresie międzywojennym, a w niektórych zagadnieniach i dla wcześniejszych okresów, zwłaszcza wobec poważnego zniszczenia zasobów archiwalnych.

Wśród spargalów pozostałych po Kazimierzu Czernickim, z których korzystam dzięki uprzejmości państwa Marii Solskiej i Tadeusza Maruszewskiego, jest ciekawostka, która — jak można przypuścić — stanowi zakończenie (Dokończenie na str. 15)

GDZIE JEST LITERA „B“?

(Dokończenie ze str. 4)

zrobiłem jeszcze jedno zestawienie. Wynik był zaskakujący — chyba nie tylko dla mnie. I aż dziw bierze, że jeszcze na żadnym zebraniu nikt o tym nie mówił, że nikt na ten temat nie jeszcze nie napisał. Sam przeleciałem kilkakrotnie, nie wierząc początkowo własnym oczom. Ale tak jest.

Otóż w r. 1965 globalna produkcja przemysłowa naszego województwa będzie miała wartość 20,775 miliardów zł. Na każdego z nas, od niemowlaka do starca, wypadnie okrago po 10 tysięcy zł. Oznacza to, że w ciągu bieżącej pięcioletki zwiększymy naszą produkcję przemysłową o 63,5 procent. Bardzo duży skok naprzód. Przeliczam inne województwa. Okazuje się niespodziewanie, że jeżeli chodzi o przewidywane planem tempo wzrostu produkcji przemysłowej, to przy równym wskaźniku z woj. krakowskim zajmujemy 5—6 miejsce w kraju. Z tym, że dwa wyprzedzające nas w tempie województwa (białostockie 85,2 proc. oraz olsztyńskie 70 proc.) pod koniec pięcioletki będą produkowały i tak ok. 15 proc. mniej, niż my w chwili obecnej. A więc robimy większy skok niż Kraków ze swoją Nową Hutą, niż jeden i drugi Śląsk ze swoimi kopalniami i hutami, niż Warszawa i wszystkie województwa nadmorskie. W cyfrach bezwzględnych pozostajemy jeszcze w stosunku do wielu z nich daleko w tyle. To prawda. Ale przecież zmniejszamy dystans i to po raz pierwszy w tak poważny sposób. Przeliczą krajową produkcję przekraczamy także — o 13,4 proc. Zwiększamy ciężar gatunkowy — nasz udział w krajowej produkcji zwiększy się z 2,4 proc w chwili obecnej do 2,68 za cztery i pół roku.

Niechże czytelnik, który cierpliwie dotarł do tego miejsca, wybaczy autorowi jeszcze jedno cyfrowe porównanie. Już ostatnie ale na tyle wymowne, że w tych gospodarczych rozważaniach pominąć go nie można.

Otóż w ostatnich latach przed wojną — jak to wykazują zachowane dokumenty — w naszym województwie dochód pieniężny pracownika w przeliczeniu na jednego mieszkańca wy-

Fatalna trzynastka *

J.B. LOUVET DE COUVRAY

Zaczęłam na dobre wracać do zdrowia. Medyk przeczłuj jako-bym szybką kurację zawdzięczał miłości i naturze, przypisując cały zaszczyt paskudnym ziółkom, tak rzadko przeze mnie pitym. Jedna tylko rzecz napelniała go wiarą w jakieś dobrośliwe bóstwo, czuwające nad naszym losem: a mianowicie, odkąd zamieszkałszy na nowym miejscu, duchy ani razu mnie nie nawiedziły. Pan Després tak często mówił o rzeczonych duchach, że nareszcie poprosiłem go, by zechciał nam opowiedzieć, co mogło dać powód do tych wiecznych żartów. Zaraz z wielką powagą rozpoczął smutną opowieść:

— W tymże samym miejscu, gdzie się znajdujemy, była niegdyś niewielka zagroda, której gospodarz zwał się Bartek; leżała ona dokładnie na miejscu tej oficynki, której — jak z tego wynika — być tu nie mogło.

— Bardzo pan ścisły, panie Després — Bartek z całego serca kochał swą żonę Balbinę, a Balbinka z całego serca kochała swego męża, Bartka. Gdyby Bartek kochał był zawsze tylko Balbinę, może Balbinka byłaby zawsze kochała Bartka.

— Co za obfitość Bartków i Balbinek, panie Després.

— Skoro już opowiadał, proszę pana, trudno mi nie nazywać moich bohaterów po imieniu.

— Masz pan słuszność, doktorze, nie kłepuj się pan.

— Jakem już — zreszczenie nadmienię, Balbinka i Bartek byli sobie posłubieni. A teraz winieniem, jak tuszę uczynić was uważnymi, że — by małżeństwo było szczęśliwe — małżonkowie muszą żyć w zgodzie.

— Znakomita uwaga!

— By zaś małżonkowie żyli w zgodzie, jest rzeczą konieczną, aby mieli gusta i humory niezbyt różne.

— Brawo, doktorze!

— Otóż Bartek lubił nie tylko swą żonę.

— Jakżeż pan znakomicie opowiadasz.

* Z powieści J. B. Louvet de Couvray „Przygody miłosne kawalera de Faublas”, która ukaże się w PIW-ie w przekładzie Anny Tatkiewicz. (Dokończenie na str. 16)

nosił dokładnie 108 zł i 70 gr rocznie. Dużo to czy mało? Wyjaśniając, że przeciętna krajowa była niemal cztery razy wyższa (419,30 zł) przeliczmy miłośnemu czytelnikowi, że była to równowartość 50 kg masła lub 1,087 egzemplarzy popularnej gazety (w niektórych wypadkach tylko 543 egz.).

A jak jest dzisiaj? Dochód pieniężny jednego mieszkańca naszego województwa wynosi nieco ponad 6 tys. zł rocznie. Daje to 80 kg masła wyborowego lub 12 tysięcy egz. gazety. Po dałem tu celowo dwa dość skrajne artykuły — masło w stosunku do innych cen przedwojennych zdrożało najwięcej, gazeta należy do tych, które zdrożały najmniej. Kto ma jakieś podejrzenia co do tych porównań niech przeliczy sam na jaki tylko artykuł chce — z wyjątkiem pralek czy telewizorów, bo tych przed wojną nie było wcale. A jeżeli weźmiemy średnią krajową, wynoszącą ok. 8,5 tys. zł, to okaże się, że przedwojenna różnica pomiędzy lubliniakiem a statystycznym obywatelem naszego kraju zmniejszyła się z czterech do zaledwie półtora.

Tak więc dobrnęliśmy do końca rozważań i wydaje się, że danie ostrożnej odpowiedzi na dręczące nas od początku pytanie nie powinno nastąpić nikomu żadnej trudności. Ekonomisci niech mi wybaczą, że w popularnym artykule posługiwaliśmy się wielu uproszczeniami, niektórym czytelnicy zaś, że popularny artykuł nafszerowałem wielu cyframi. Chyba nie było innego wyjścia, jeżeli w dniu wielkiej, narodowej rocznicy chcieliśmy dokonać pewnego obrachunku, w którym musiało zabraknąć pustych sloganów.

Jerzy Dostatni

P. S. Za dostarczenie różnych materiałów jak również dyskusję na niektóre poruszone tu zagadnienia, dzięki serdecznie inż. Brunonowi Wilczewskiemu.



Kolumnę opracował Andrzej Bajkowski

LDK 5 LAT

IV

NAZWISKA OSÓB,
KTÓRYM PRZYZNANO
PODZIĘKOWANIA
ZA 5-LETNIĄ PRACĘ
LUB DZIAŁALNOŚĆ
W LDK
PRACOWNICY

Maria Barzęc
Zofia Chylińska
Maria Grodzka
Zofia Pakulska
Aleksandra Piądlowska
Romana Piech
Irena Piechotowa
Grażyna Supryn
Irena Szczepowska
Danuta Tramecourt
Tadeusz Bartkowiec
Adam Bartnik
Krzysztof Chramcewicz
Zbigniew Kędziński
Henryk Kuszyk
Zbigniew Kwiatkowski
Zdzisław Siedlecki
Ryszard Tkaczyk
Jan Urbanowicz
Stanisław Witek

CZŁONKOWIE
ZESPOŁÓW I ZASŁUŻENI
RODZICE

Ewa Czarnecka
Krzysztof Dudek
(matka)
Iwona Dudek
(córka)
Ewa Gąsior
Jerzy Lanciewicz
Kazimierz Lutomski
Irmína Łysakiewicz
(matka)
Zdzisław Maniecki
Józefa Nowacka
(matka)
Magda Nowacka
(córka)
Alina Pajek
(matka)
Ziemowit Pajek
Ewa Rodziewicz
Eugeniusz Rudaś
Zbigniew Ryś
Anna Skarżyńska
Anna Sniadecka
Kazimiera Szyba
(matka)
Bożena Szyba
(córka)
Jerzy Topyło
Andrzej Twardowski
Kazimierz Wierucki
(ojciec)
Iwona Wierucka
Stanisław Wink
Sławomir Ząbek
Ewa Żebrowska
Ewa Żytek

NAJ-starszym LDK-owcem jest pan Eugeniusz Rudaś, członek zespołu teatralnego.

NAJ-młodsza, 5-letnia Krysia Grodzka, „działa” w ognisku baletowym.

NAJ-ciekawsze osiągnięcia, mają według mego zdania, recytatorzy, rokrocznie wyróżniani na konkursach ogólnopolskich. Obok nich — fotograficy. Mimo pewnej pretensjonalności niektórych prac, wiele innych stoi na wysokim poziomie tak pod względem kompozycji, jak i techniki wykonania.

NAJ-gorętsze dni w swojej historii LDK przeżył w roku bieżącym, tuż przed wyborami do Sejmu. Organizował wówczas po 3 imprezy w ciągu jednego dnia — w 3 różnych miejscach.

NAJ-energiczniejszą osobą LDK jest „głowa domu”, dyr. IRENA SZCZEPÓWSKA.

LDK skończył właśnie 5 lat. Solenizant jest bardzo młody, ale i bardzo dojrzały. Pokażcie drugiego takiego, który w wieku 5 lat miałby pod swoimi wpływami blisko 2 tysiące osób! Pięćset z nich to członkowie stali, zgrupowani w szeregu zespołów. Pozostali rekrutują się spośród klientów Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej lub należą do kręgu odbiorców Działu Upowszechnienia Wiedzy.

Oto „Przewodnik” po osiągnięciach najnowszego lubelskiego pięciolatka. Poszczególne informacje zamiast tytułów opatrzone są cyferkami. Co która z nich oznacza — wyjaśnia „legenda” w prawym dolnym rogu kolumny.

II

ZESPÓŁ WIDOWISKOWY

Pracuje regularnie nad regionalizmem Lubelszczyzny. Przygotowuje inscenizacje oparte na tekstach ludowych: jak dotąd wiejskich, a w najbliższym sezonie z zamiarem zainteresowania się folklorem przedmieść. Kierownikiem Zespołu jest Stanisław Weremczuk.

OGNIŚKO BALETOWE

Istnieje od roku 1956. W 10 grupach skupia 180 dzieci. W zależności od wieku członków uczą się oni w ognisku rytmiki, tańców ludowych lub klasyki tańca. Działalność ogniska jest najbardziej charakterystyczna dla samej idei LDK: wychowanie, praca w środowisku i dla środowiska. Tylko niewielkie fragmenty tego, co dzieje się wewnątrz zespołów, pokazują publiczności.

ZESPOŁY TANECZNE

Są dwa: dziecięcy i młodzieżowy. Wyłonili się częściowo z ogniska, częściowo z ludzi, którzy przyszedli do LDK wprost z ulicy. Instruktorem i kierownikiem zespołów jest Zofia Pakulska.

„NASZ TEATR”

Teatr amatorski, pracujący nad sztukami pełnospektaklowymi. Często i dużo jeździ, zbierając wszędzie zasłużone oklaski. Kierownik: Zdzisław Siedlecki.

TEATR KLUBU „ZAMEK”

Jest jednym z kilku LDK-skich teatrów. Jego inicjator, Mirosław Derecki, pewnego razu zjawiał się w Klubie, zgrupował wokół siebie kilku interesujących się sceną młodych ludzi i tak się zaczęło. Teatr ma duże ambicje i przygotowuje składowe programy na ogół trudniejsze.

TEATR LALEK „KRZYSIA”

Należy też do LDK, ale członków tego zespołu trudno spotkać na Zamku. Zbierają się oni i pracują przeważnie na terenie ZOR - Zachód, w mieszkaniu prywatnym kierowniczki Aliny Stanowskiej.

LALKOWY ZESPÓŁ INSTRUKTAŻOWY

Działa pod kierownictwem Zbigniewa Kędzińskiego w ... Puławach. Postawił sobie za cel nie tylko pracę wewnątrz zespołu, ale również roz-

powszechnianie idei lalkarstwa gdzie tylko się da. Wyniki: Zespół jeździł kilkakrotnie do Nałęczowa — dziś młodzież szkolna w tym uzdrowisku tworzy własny teatrzyk lalek. Oczywiście przy serdecznej pomocy Zespołu.

KLUB FOTOGRAFICZNY

Patronuje mu Jan Urbanowicz. Zamiast komentarza słownego — jedna z prac członka Klubu, St. Butryma.

AMATORSKI KLUB FILMOWY LDK

Wyłonił się z dawnego DKF-u. Posiada własną kamerę i kręci filmy: z życia Domu Kultury, z uroczystości państwowych, krótkie filmy fabularne. Kierowany jest na zasadzie samorządu.

SWIETLICA MŁODZIEŻOWA „CHOCHLIK”

Jest filią LDK przy ul. 1 Maja. Posiada własne zespoły: instrumentalny, recytatorski i taneczny, a zasadniczym celem działania jest szerzenie kultury w pozbawionej innych tego rodzaju placówek dzielnicy miasta. Uczy, wychowuje, ciesząc się dużym wzięciem, szczególnie wśród młodzieży. „Chochlikiem” kieruje Eugenia Bożyk.

KLUB PIOSENKI

Skupia w chwili obecnej 14 osób, nie tylko miłośników, lecz i interpretatorów piosenki. Powstał na bazie konkursów piosenkarских, a właściwie z punktu konsultacyjnego LDK, zorganizowanego dla uczestników wspomnianych konkursów. Równoległe z Klubem działają MŁODZIEŻOWY ZESPÓŁ INSTRUMENTALNY, SEKSTET RYTMICZNY, znany niegdyś jako „Siedem czarciach łap” — najlepszy tego typu zespół w całym województwie, oraz instruowany przez Adolfinę Szałańską TERCET WOKALNY. Kierownikiem Klubu Piosenki jest Irena Piechotowa, a „naczelnym” akompaniatorem Ryszard Schreiter, kierownik muzyczny Teatru Osterwy.

ZESPÓŁ RECYTATORSKI

Od czasu do czasu przyjmujący formy teatralne, („Minimum”, „Ale”), autor wielu sukcesów LDK. Liczy 10 osób, istnieje pełne 5 lat, a prowadzi go jeden z dawnych członków, Sławomir Ząbek, z zawodu matematyk, pracownik UMCS.

ACHILLES I PANNY ○ BALLADYNA ○ BANDOSKA ○ CHRYZOSTOMA BULWIECIA PODROŻ DO CIEMNOGRODU ○ CZOLEM TWARDOWSKI! ○ CZŁOWIEK I CIEN ○ DZIWOWISKO ○ GRZEGORZ DYNDAŁA ○ KRZYSZTOF ○ MENUET ○ MOJE LALECKI ○ NA TRATWIE ○ ○ DZIELNYM SZEWCZYKU ○ ○ KASI, CO GĄSKI ZGUBIŁA ○ OSTATNIE DNI KOMUNY ○ OŻENEK ○ PRZYGOODY PANA ZIOŁKO ○ PIERWSZY MAJA ○ PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI ○ PIEKŁO ○ POLKA ○ PIOSENKA NEAPOLITAŃSKA ○ PIĘTNAŚCIE LAT PRL ○ ROZTOCZE ○ SKRZYP-COWA BALLADA ○ ŚNIEŻKA ○ TAN-CE KASZUBSKIE ○ WIECZÓR NON-SENSU ○ ZABYTKI LUBELSZCZYZNY ○ ZEMSTA ○

LDK powstał z Miejskiego Domu Kultury. Dawniej miał jednego, dziś dwóch opiekunów i protektorów: Miejską i Wojewódzką Radę Narodową. Dubeltowy protektorat wychodzi LDK na dobre. Równie zrozumienie dla spraw LDK, rosną dotacje: niemałe. Pięciolatek jest rozrośnięty i posiada potężne potrzeby. 1.670 tysięcy otrzymał na ich zaspokojenie w roku bieżącym — ponad 4.500 zł dziennie. Wydatek opłaca się. Świadczą o tym osiągnięcia.

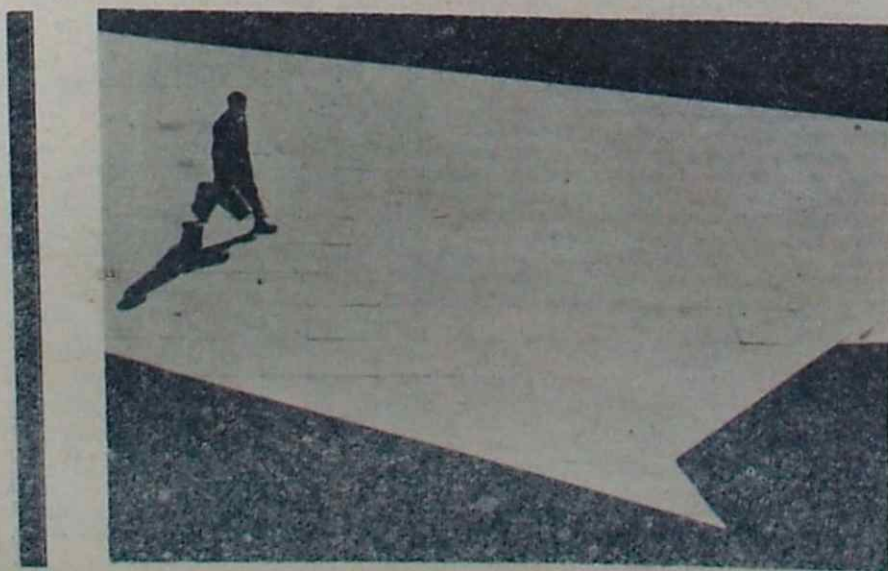
Działalność LDK odbywa się na 3 płaszczyznach. Pierwsza z nich to Dział Pracy Zespołów Artystycznych: on to właściwie istnieje całe pięć lat. Dwa pozostałe kierunki działania są młodsze: Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa, zajmująca się niesieniem pomocy rzeczowej i instruktorskiej ruchowi amatorskiemu na terenie województwa, liczy sobie trzy lata; 2 lata życia skończył Dział Upowszechnienia Wiedzy, takie sobie małe (ale dużo robiące) TWP od spraw oświaty i kultury, przejawiające działalność w różnego rodzaju kolach ochrony i miłośników różnych rzeczy, organizacji odczytów itp.

Niniejszy „przewodnik” poświęcony jest głównie właściwemu solenizantowi, którym jest Dział Pracy Zespołów Artystycznych (kieruje nim od 3 lat p. Elżbieta Kuśmicka).

V

VI LEGENDA

1. — Kto jest dosłownie pięciolatkiem?
2. — Dział pracy zespołów artystycznych obejmujące swym zasięgiem cały ich szereg. W notatce oznaczonej numerem 2 powiedziane jest, jak się nazywają, co robią, kto nimi kieruje.
3. — Alfabetyczny wykaz tytułów najsłynniejszych sztuk, inscenizacji, układów baletowych, programów teatru kukielkowego, wieczorów recytatorskich i filmów, zrealizowanych przez zespoły LDK na przestrzeni ostatnich lat.
4. — W związku z pięciolatkiem kierownictwo LDK przyznało 47 osobom podziękowania za 5-letnią ofiarną pracę lub uczestnictwo w działaniu LDK. Są wśród nich zarówno pracownicy, jak i członkowie zespołów, a także ich rodzice. Lista imienna podana jest z serdecznymi gratulacjami!
5. — 5 razy „NAJ” o LDK.



VIOLETTA SZORC – MONOLOGI ANTYCZNE

I

Mówili: dobrej nocy Sokratesie
wino ma jeden smak
pustynie nie są takie sypkie i rozcieńczone
nie jest bolesne rozchodzenie, więc będziesz łowił
w cudzy sak,
swych myśli w obcym nie doniesiesz
i łowy zawsze będą płytkie,
gdy nici lepkie są i gęste.

Mówił: wiem, cudzą siecią zbiorę polów
rzucony przez burty zbyt niskie
ciemnością oślizgły, kwaśny, cierpki,
przejdziecie nade mną zazdrośnie strzegąc nóg
od brzegów niezrosłych
jątrzonych przez mnie.

Mówili: brzegi Sokratesie są twoją zdobyczą
i ostre kąty zawieszania,
a wino ma jeden smak w nocy i w dzień,
— przecież namioty stawia się w oazach
myśli swe niesiesz przysypane ziarnem ślepym
a piasek wszędzie jednakowy.

Mówił: sieci moje są gęste
— ryby, które łowią poza burta ułożę na piasku
aż zmieniają się w piasek równie sypki jak wy
i tak będzie ze mną:
zostanę aż do zatarcia mych oczu
tylko zawieszanie będzie niepełne
jednakowo i w nocy i w dzień
będziecie rozmieniać mnie na góry, glazy, kamienie,
żwir, piasek
na pustynie wymiecione ze mnie.

Mówili: będziesz Sokratesie krótko wino pił
łoczone z gęstością,
a my wrzucimy kostki do sieci
w którejś łowił swe podłużne ryby,
sieci w którejś ty siebie złowił,
przez które przeciekałeś.

Mówił: nie wejdzie we mnie żaden z was
i żaden mnie stąd nie wyniesie.

II

Sokrates: masz rację Meletosie, że idą za mną,
że młodym nowych bogów pokazuję,
ale ty wiesz, że ich nie ma
i oni nie nowego nie przeżyją
dlatego bogów nie potępiają.
Będę czeżony przez was,
a ty ofiarę złożysz ze swego Boga,
choć Go nie widziałeś.

Masz rację, że idą za mną,
ale idą dlatego, że ja sam jestem bogiem
Gdybym chciał zagarnąć przełęczę wszystkich gór
czy szedłbyś ze mną?
Mówili mi: gdy zdobędziesz przełęcz rano
na szczyt wejdziesz o zmierzchu
dlatego bronie się przed wami w zmroku
a w nocy będą obroniony.

Meletos: gdy rzucą kości, będzie noc
gdzie twoja przełęcz Sokratesie?
Zbyt długo szedłeś przechylony prostopadle do innych
aż ranek dojrzał zbyt weźmie
na przełęcz wdarłeś się już z nami
choć najpierw wyprzedzałeś nas.

Myślał: nikt nie wszedł w drogi prostopadle
by je minąć oślepiłony
i ja nie namacałem tego przejścia.

Krzyknął: jeszcze raz oskarżam cię
o nowych bogów Sokratesie.

III

Odwrócona plecami — czekała. Zakończył swoją
obronę i nikt nie wrzucił do worków kostek kolo-
rowych dwoma kolorami. Skończył rozdrabniać sie-
bie na chrzęszczące słowa — nie myślał: przekonałem
was waszym oskarżeniem, dzięki oszczerstwom mia-
łem dowody niewinności — ale mówił cicho do niej:
wszystko co im powiedziałem to nie była obrona,
lecz osaczenie i nie oni mnie osaczyli, lecz ty prze-
niknął we mnie, zapominając, że jestem tobą. Mó-
wił głośno: mam osiemdziesiąt lat i będę się bać gdy
worki staną się pełne, ale waszych rąk się nie boję,

nie boję się Meletosa, boję się ruchu jego ręki. Krzy-
czał: zgine i żaden z was nie będzie mówił — znalazem
médrea. Drgnęła: — Przeszłaś we mnie rozgarniając
mnie samego, jak wchodzi ostrze w tłuste zboże, do-
niosłaś do tej liczby owoców, które sama urodziłaś
tak jak ja jestem twoim owocem i tobą się bronie
przed osaczeniem, przed ręką Meletosa i workiem peł-
nym czarnych kostek. I zaraz nadzieja.

HENRYK PAJAK

Martwa natura

Płyń cicho zanim skończę
boję się twego pościgu — milezenia

Idę do ciebie brzegiem słów jak brzegiem morza
kiedy pieniś bryzą czuwa nad swoim snem
idę ktoś mówi bryzą Tędy jest przejście życia
w tobie są słowa które gdyby mogły mówić zanim
wystąpią z brzegów i ociekający poemat legnie u stóp

Gdy wszystko było dwuznaczne i podejrzone
stawiałem nad sobą kim jestem ziemi

Mówiłaś chodź ze mną
pójdziemy z boczem łagodnym w dolinę
strumieni i saren
gdzie oszalał barok zieleni
podziemnym gniewem życia wiosną narasta jak burza

Rozbłiesz Namiot nieobliczalny poemat
z dala od ludzi i z dala od samotności
nienarodzony dawno zrodzony
nierozpoznany dawno poznany

Ale pamiętaj jest Śmiech zanoszący się Chichot
i stary człowiek w reumatyczne noce bluzniący
bogiem i papce

wtedy załamuje się najboleśniej poemat
jesteś jak sterta confetti
oszukano cię
perzucano
wycięto drzewa twoich słów
pozostawiono w głuchej do krwi dolinie strumieni
martwych saren o oczach dalekich za które odpowiesz

a ty nadejdiesz w środku alkoholu
i nigdy nie dowiem się czy byłaś
piękną kobietą mojego baroku za który odpowiem
czy grudą ziemi na moich oczach dalekich

NELLY ZACHAJKIEWICZ

Szlifyerze

Nie zamieniające oczu
wylawionych z koloru
na szklane kule —
zatrzymajcie wilgoć w sitowiu rżęs.

Nie przeklinajcie dni
odnalezionych w kamieniolomach.
One wam dadzą światło,
wtedy otworzycie oczy —
prawdziwe kamienie.

I nie płaczcie nigdy —
płacz to nie szlifowanie.
Zrenice trzeba wygładzać ciepłem.

JADWIGA BIADUŃ

Jesień

Monety lecą z drzewa
świat się bogaci —
ja za minione lato
nie mam czym płacić.

Drzwi

Rym można by otworzyć
wyjść tam gdzie radość śmielsza
ale mi tak zacisnie
w tych czterech ścianach wiersza ...

Cynizm

Zamknęli szczelnie drzwi
przed pozdrowieniem śniegu
zaryglowali okna
przed wejściem Dobrej- nocy
Zatrzasnęli żaluzje
przed nosem psa bez domu
— — — — —
Miłoścu u progu — otwórz oczy
— — — — —
Tylko głupcy w dobrych bajkach
wznoszą pałace chorym ptakom
dają mieszkania psom na budę.

JERZY SPRAWKA Człowiek

Andrzejowi J.

Porzucana knajpa
tliła się
niedopalkami
wspomnień.
Kostur chodaków
lupał kamień
napity cień
oblakany ciszą
rzucił głową
w szyby.
Dzieci
miał Je
i żonę
osiemset złotych
zostawił
tam płaczą, pieniądze
Człowieku.

RYSZARD KORNACKI

Sed non satiatus

Gąbka
skorupa niewystygłej Ziemi
Chciwość
płazów korzennych
To nie Baudelaire
To ja
Chciwiec gór
wyośnietych
ponad oazy
ponad
siebie samego
To ja
co śpiew kielkowania
co słowo raz wymówione.
Kładę
głowę w delcie
Twoich kolan
kładę.

Rok 1863 na Lubelszczyźnie

BONDAN KRÓLIKOWSKI

NAKŁADEM Wydawnictwa MON
ukazał się przed kilku miesiąca-
mi mało znany (choć wydano go
przed laty parokrotnie) pamiętniczek
St. Brykczyńskiego*). Jest to dosyć
ciekawy przyczynek do historii powsta-
nia styczniowego, tym dla nas cenniejszy,
że akcja w przeważnej większości
rozgrywa się na Lubelszczyźnie lub
w sąsiedniej Kielecczyźnie.

Zbliżająca się setna rocznica powsta-
nia wywołała zapewne niejedną nad
nim dyskusję entuzjasty i sceptyka.
Przychylając się do drugiej z dwu po-
zycji można jednak z życzliwością i zro-
zumieniem podejść do wspomnień pisa-
nych przez umiarkowanego entuzjastę.
Przed wszystkim przypomnieć należy,
że Brykczyński walczył w powstaniu
mając lat 16, a w tym wieku, jak wiadomo,
rzadko kto bywa sceptykiem. Dlatego też
książka jest swego rodzaju ciekawostką,
jako że autor, spisując wspomnienia w
późniejszych latach, zachował młodzieńczą
świeżość spojrzenia, co wspomnieniom jego
nadaje swoisty charakter.

Czytając je poznajemy wypadki 63
r., tak jak je widział autor — uczeń
natenczas lubelskiego gimnazjum. Ta-
ki sposób ujęcia nie może być oczy-
wiście wszechstronny, dlatego też nie
doszukujemy się u Brykczyńskiego syn-
tezy, nie oczekujemy odpowiedzi na
szereg pytań natury społecznej i poli-
tycznej. Autor pisze głównie o tym,
co go jako młodego chłopca interesowa-
ło; a zatem o wojsku powstań-
czym, o jego organizacji, bitwach, po-
tyczkach, o Rosjanach traktowanych
tylko jako partner do bitwy, jak by
się dziś powiedziało npl.

Powstanie nie jest dla Brykczyń-
skiego tragedią, lecz po prostu mło-
dzieńczą przygodą z książką o India-
nach. Zresztą sam on w toku wspom-
nień nawiązuje do reminiscencji z
lektury Mayne-Reida czy Coopera.

Autor uciekając ze szkoły do powsta-
ńczych szeregów uczynił to niewąt-
pliwie ze szczerze patriotycznych po-
budek, nie sposób jednak nie pa-
trzeć na jego przeżycia jak na jakieś
wakacyjne wędrówki. Poniekąd

tak zresztą go i traktowano. Mama
wysyłała starszych braci po ucieki-
nię, a w końcu sama nieomal prze-
mocz wyciągnęła go z szeregów. Puś-
ciła go zresztą po raz drugi, ale już
nie do wojska w ścisłym tego słowa
znaczeniu, tylko jako „galopin-adiu-
tanta” w partii Ćwieka, gdzie zresztą
zbyt poważnie go nie traktowano.

Niemniej jednak książka, jak już
zaznaczyłem, jest cennym przyczy-
nikiem do dziejów walk powstańczych
na Lubelszczyźnie od wiosny do je-
sieni pierwszego roku powstania. Au-
tor, choć tak wówczas młody, zauwa-
żył i zanotował cały szereg szczegó-
łów związanych ze ściśle militarną
stroną walk. Można z jego książki
dowiedzieć się bardzo dokładnie, jakie
karabiny mieli powstańcy, jak byli
ubrani, a nawet co jedli. Można też
znaleźć wiele danych dotyczących or-
ganizacji i taktyki wojsk powstań-
czych, a głównie partii Zarpłaty i
Zapalowicza, Ćwieka (właściwie raczej
Murdelia), Rudawskiego, Lelewela-Bo-
relowskiego i innych. Omawiany pa-
miętnik jest głównie historią walk
tych właśnie partii. Szereg bitew i
potyczek opisanych jest dokładnie z
podaniem miejscowości, przebiegu bo-
ju, ilości wojsk itp. Kilkakrotnie wy-
mieniane są takie miejscowości, jak
Hrubieszów, Tyszowce, Puławy, Nałę-
czów, Biłgoraj, nie mówiąc już o
szeregu wsi. „Lubelskość” wspomnień
jest zatem bardzo wyraźna i siłą rze-
czy miła dla mieszkańców wojewódz-
twa lubelskiego. Znajac tereny walk
opisywanych przez Brykczyńskiego
łatwiej wyobrazić sobie tamte czasy,
wczuć się w ich atmosferę. Atmosfera
to zresztą w ujęciu pamiętnikarza by-
najmniej nie taka znowa, jak by się
zdawać mogło grotgerowska — jeżeli
już szukać porównań w malarstwie, to
plastycznym wyrazem wspomnień
Brykczyńskiego mogłyby być raczej
obrazy Maksa Gierymskiego czy Wit-
kiewicza.

*) Stefan Brykczyński. *Moje wspomnienia*. R. 1863. Warszawa 1960. M.O.N.



LIRYKA

Zycie wciąż w ruchu — i nogom,
i rozumowi
Jednakowo uciekają mety:
Kiedy myśli biegna, na ich nogach
Melodyjnie dzwonią bransolety.

Obłok jak płatnik powędrował
Poza horyzont, w świat —
Na pożegnanie w łak zeszycie
Swój cień jak podpis kładł.

Już świt ozdobił niebo letnie,
Poła rosami haftowane.
W białą się kwiat zamienił fletnię,
Na której cicho gra poranek.

Wiele dni spędziłem w podróży,
Wiele widziały oczy moje
Krajów dalekich i znacznych miast,
Gdzie radość śpiewała obca.

Ale dotąd nie zauważyłem,
Jak tuż obok mojego okna
Na lodyde ryżowej błyska
Kropla rosy w słońcu porannym.

Noćny nieboskłon w mroku
Wrota złote odmyka:
Wychodzi jutrznia i gwiazdy
Zbiera do swego koszyka.

Czekam poety ziemi — biedoty
[przyjaciela,

Którego słowo i czyn
Złącza się w jednym porywie.
O, gdyby dał on ludowi
To, czego ja nie posiadam.

Według rosyjskiego przekładu
A. Gorbowskiego
spolszczył Jerzy Pleśniarowicz

O „dwóch księżycach“

(Dokończenie ze str. 5)

percepcja, obserwowanie, gdy cały aparat funkcjonuje ostrzej wskutek działania bodźca zdziwienia, daje wobec obcych ludzi i zjawisk, obcego terenu egzotycznego — obszar, widzenie rzeczywistości...

A. G.: Przyznam się, że mnie irytuje i drażni obsesja Kazimierzowska w naszej sztuce lat ostatnich.

M. K.: Ja od kilku lat spędzam w tym uroczym miasteczku wakacje letnie. Nigdy nie mieszkałam w takim ograniczonym terenie, oddalonym wszystkiego o trzy godziny jazdy od Warszawy, a tak egzotycznym przez szalony kontrast prymitywu osiadłego życia mieszkańców miasteczka i przybyszów. Wytwarza się na tym terenie niezwykła sytuacja dzięki temu, że gośćmi — przybyszami są przeważnie artyści. Aura kapryśny artystyczny wypełnia miasto, żyjące równocześnie całą powagą swych obowiązków i pracy...

A. G.: Czy taka sytuacja nie musi doprowadzić do konfliktu? Przecież na ogół malarze — to ludzie niezbyt poważni.

M. K.: Ludzie, którzy tam wydziewają, to przecież ludzie wydarci z ram oficjalnego życia. A zresztą — powaga? Przecież wyżywianie się artysty jest czymś niewymiernym. Owa aura kapryśny artystyczny jest czymś zasadniczym, bezinteresownym. Kult rzeczy niepotrzebnej, kult czystego nonsensu, brak powagi — to nie dyskwalifikuje człowieka!... Wcale nie cenię powagi życia! Czymże jest u artysty niedocenywanie ważności życia? Jest to stanięcie na pewnej granicy, w punkcie metafizycznym, gdzie po jednej stronie znajduje się śmiech, błazeństwo, a po drugiej — bohaterstwo!

A. G.: Teraz widzę trochę inaczej ów mimo wszystko nieuchronny zażart między przybyszami, reżyserami i aranżerami życia a autochtonami, prostymi ludźmi.

M. K.: Oczywiście: ci dziwnie ukostumowani ludzie, zjawiska w kryminach na tle pokracznych domków, ta commedia dell'arte — to musi drażnić, prowokować. Autochtoni są wzburzeni i upokorzeni. Ta fantazja i wyrafinowanie głęboko ich obraża! Nie mogą zrozumieć, jaka pasja przewala się w drapieżnych duszach artystów, wyzywających się bez granic. Tu, na linii zetknięcia się dwóch światów, musi nastąpić szok psychiczny... Stąd wywodzi się moja książka. Dokopaliśmy się wreszcie społecznego sensu zjawiska, któremu na imię: letnicy. Jestem zdania, że wiele nienawiści między wsią i miastem ma za podłoże ów letni kontakt.

A. G.: Interesuje mnie owa letnia tajemnica wolności, w której artyści widocznie pragną żyć... podczas wakacji.

M. K.: Trzeba znać aurę plastyków, ich specyficzny stosunek do materii. Ich mania kostiumowa, cała commedia dell'arte jest wyrazem ich stosunku do świata, do rzeczywistości...

A. G.: Wydaje mi się, że pani książka „Dwa księżycy“ uzyskała w tej wypowiedzi nowy, istotny dla jej zrozumienia, komentarz... Ale „Dwa księżycy“ to już przeszłość. A mnie interesuje bardzo pani pisarskie dziś i jutro.

M. K.: Pisałam ostatnio budując nowelki do wypisów szkolnych. Mam zaś przed sobą zdecydowanie dwie duże powieści: pierwsza pomyślana została najpierw jako scenariusz filmowy i dotyczy pewnej organizacji międzynarodowej związanej z radiofonią; druga rzecz — to powieść „rodzinną“, ale pisana inną techniką. Będzie to rzecz dużych rozmiarów, cofnięta dość daleko w przeszłość. Zaczynałaby się mianowicie w okresie wojen napoleońskich. Zarówno uczuciowe predyspozycje osobiste, jak i obiektywne w stosunku do nowej powieści, dojrzały do realizacji...

A. G.: W takim razie poproszę panią...

Do pokoju wpada pan Jerzy Kuncewicz z pękiem stron rękopisu. Widać, wyraźnie, że znajduje się u progu rozwiązania zagadki bytu. Głowa pochylona do przodu, jak do walki z niewidzialnym przeciwnikiem.

— Tak! Znowu telefon do ciebie. Ten sam, jak go tam! No ten od szczerów... Nie pozwól człowiekowi dokończyć pracy...

Nagle spostrzęga mnie i notatki leżące przede mną na stole. Domyśla się czegoś.

— Ach, pan wybacz, że ja się tak... Wybacz Marysiu, ale...

Wybaczamy.

Adam Galis

Stary doktor nie zginął

KIEDY w czerwcu 1960 r. Komitet Korczakowski przy Towarzystwie Przyjaciół Dzieci w Warszawie ogłosił ogólnopolski konkurs pt. „Co mi dał Janusz Korczak“ — nawet wśród organizatorów mało było optymistów. Spodziewano się po prostu słabego zainteresowania konkursem i również słabych prac. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Można się było o tym przekonać w dniu 11 czerwca br. na uroczystości zamknięcia konkursu, która odbyła się w Państwowym Domu Dziecka im. Janusza Korczaka w Warszawie przy ulicy Krochmalnej 92 (a więc w domu, gdzie żył i pracował „Stary Doktor“).

Imprezę tę, w której wzięli udział uczestnicy konkursu i zaproszeni goście otworzył przewodniczący Sądu Konkursowego — prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr Stefan Wołoszyn. Następnie redaktor Ela Frydman wygłosiła referat podsumowujący dorobek konkursu. Z przedstawionych tu materiałów wynika, że na konkurs wpłynęły 43 prace, w tym 2 z ZSRR, 1 z Francji i 1 z Izraela. Na 38 autorów prac było 22 kobiety i 17 mężczyzn. 23 uczestników — to nauczyciele, 9 osób znało oświadczenie Korczaka, 2 pracowały pod jego kierunkiem, jednakże tylko 3 zetknęły się z jego dorobkiem w czasie

studiów. Wspólną cechą wszystkich prac konkursowych był niewątpliwie szacunek dla „Starego Doktora“, a często i gorące uczucie wdzięczności i uznanie dla niego, zarówno ze strony młodych jak i starych pedagogów. Jeden z uczestników wystąpił nawet z wnioskiem podjęcia inicjatywy w sprawie budowy pomników Korczaka w Rabce, Warszawie i innych miejscowościach. Wszystkie prace przysłane na konkurs zostały przekazane Komitetowi Korczakowskiemu, które podjęło się przeanalizować i wykorzystać dorobek autorów.

Po referacie red. Eli Frydman, aktor Teatru Narodowego w Warszawie Tadeusz Bartosik przeczytał pracę, która otrzymała pierwszą nagrodę, następnie głos zabrał Prezes Komitetu — Igor Newerly. Pisarz podzielił się z zebranymi uwagami na temat działalności Korczaka, którego śmierć była logiczną konsekwencją całego życia w służbie dzieci. Był on wybitnym znawcą świata dziecięcego, wprowadzającym nas za kulisy dzieciństwa po mistrzowsku. I to jest jego pierwsza zasługa. Drugą jest to, że Korczak w pewnej chwili stał się sumieniem dorosłych w sprawie dzieci, w sprawie wytkniętej nie w aspekcie uczucia, ale socjologii i etyki. I wreszcie trzecia zdobycz — to bodziec do samokontroli, jakiego dostarcza lektura jego dzieł, to doskonała szkoła wychowawcza dla wychowawców.

W zakończeniu swej prelekcji Igor Newerly podkreślił rzadko spotykany wyróżniony poziom konkursu, po czym w imieniu organizatorów wręczył wszystkim uczestnikom pamiątkowe pocztówki korczakowskie, „wybrańcom“ zaś nagrody i wyróżnienia za nadesłane prace.

Warto zaznaczyć, na zakończenie, że jakkolwiek konkurs ten nie spotkał się wśród nauczycieli Lubelszczyzny z żywym zainteresowaniem (a szkoda!), to jednak przedstawicielce naszego regionu Elżbieta Rosiak, udało się uzyskać zaszczytne wyróżnienie.

Komitet Korczakowski ma zamiar opublikować nagrodzone i wyróżnione materiały, by w ten sposób utrwalić dorobek konkursu.

(xyz)

Co mnie jako wychowawcy dał Janusz Korczak

ELŻBIETA ROSIAK

Fragment pracy wyróżnionej na konkursie

Kiedy po skończeniu studiów polonistycznych rozpoczęłam pracę w szkole podstawowej, dostałam m. in. wychowawstwo klasy VII, która, jak się później okazało, w ciągu roku szkolnego nastęrczała wiele poważnych trudności. Przez kilka pierwszych tygodni nie dostrzegłam wprawdzie jakichś poważniejszych problemów, którymi żyła moja klasa. Nie starałam się zbliżyć do uczniów, aby poznać ich zainteresowania, trudności i kłopoty. Strofowałam ich za dwójki, byłam bezwzględna i poważna. Wydawało mi się, że autorytet zdobędę u uczniów wtedy, kiedy będę surowa i kiedy każda moja lekcja będzie prowadzona dobrze — i to wystarczy.

Po krótkim czasie doszłam do wniosku, że nie tędy prowadzi droga. Sięgnęłam do dzieł Korczaka, pierwszy bodaj raz jak najbardziej świadomie po to, by poszukać jakiejś rady i pomocy w konkretnych trudnościach wychowawczych w prowadzonej przez siebie klasie. Nie zawiodłam się na „Starym Doktorze“. Bez trudu znalazłam zdanie o ogromnym wpływie nauczyciela na dziecko:

„Nauczyciel był nadprzyrodzoną istotą. Znaczek zrobiony na książce jego ręką, niebieski ołówek, stopień czerwonym atramentem — wszystko to było tajemnicą, godne szacunku. Naśladowałem w domu jego sposób mówienia, głos, ruchy“.

Korczak pomógł mi zauważyć dystans, jaki zapanował między moim stolikiem a ławkami uczniów, wskazał na konkretne niebezpieczeństwo, z którym trzeba walczyć, kazał zbliżyć się do wychowanków, przypatrywać się im, poznawać.

Lekcja udzielona przez Korczaka dała niemal natychmiastowe rezultaty. Szybko dowiedziałam się, że nieodrobiona lekcja Bożenki ma swoją przyczynę w

Interview w tonacji h-moll

(Dokończenie ze str. 2)

ło. Niegdyś nasza działalność muzyczna prowadzona była jak gdyby po dwóch torach. Jednym z nich były stałe, abonamentowe koncerty dla stałej, na ogół ekskluzywnej publiczności ze środowiska. Drugim — organizowane doroczne koncerty „peryferyjne“ — dla FSC, dla WSK w Świdniku czy gdzie indziej.

Eksperyment patronatu, o którym mowa, ma inne znaczenie: cykl koncertów o tematyce dobranej specjalnie dla niewyrobionego słuchacza przypomina tzw. audycje szkolne, na których powoli i systematycznie uczymy odbiorcę „słuchania muzyki“. Myślę, że zda on egzamin...

TERAZ o planach repertuarowych na przyszły sezon, kolejno: przygotowywane przez zespół większe dzieła (wymieniam nie wszystkie): Szymanowski: III Symfonia, Baciewicz: również III Symfonia, Kurpiński: operomontaż „Zamek na Czorsztynie“, Czajkowski: V i VI Symfonia oraz Koncert Fortepianowy b-moll.

Ulubiony przeze mnie osobiście Karłowicz: „Smutna opowieść“, wspaniała „Wielka msza h-moll“ Ravela, Rimski-Korsakow: „Szecherezada“. Wykonywałem niedawno to dzieło dyrygując w Budapeszcie Wielką Orkiestrą Budapeszteńską i wreszcie Ravela „Rapsodia hiszpańska“.

FALA, cała fala doskonałych solistów pojawi się w Filharmonii już bardzo niedługo. A więc przede wszystkim aż cztery wielkie pianistki: Francuzka Tania Achat, Amerykanka Maria Rey, Rosjanka Nina Zarickaja, wreszcie druga Amerykanka — Ann Schein — te nazwiska nie są obce żadnemu miłośnikowi muzyki. Spośród znanych już lubelskiej publiczności gwiazd polskich wymienię choćby tylko Halinę Czer-

* Tonacja h-moll jest ulubioną tonacją p. Cwojdzńskiego, stąd tytuł wywiadu. Ale optymizm dyrektora każe przypuszczać, że wszystko będzie w tonacji jak najbardziej „dur“.

klótni, jaką prowadzą rodzice. Serdeczna rozmowa z wychowanką, udzielenie rad, jak ma zająć postawę w domu, ciągle wypytywanie się o jej warunki i sytuację w domu — to wszystko sprawiło, że dziecko odzyskało równowagę psychiczną i jednocześnie zbliżyło się do mnie. I to było moje pierwsze zwycięstwo, którego autorem był Korczak.

W swojej praktyce pedagogicznej jeszcze nieraz spotkałam się z poważnymi zagadnieniami pedagogicznymi, których rozwiązywanie często dokonywało się z pomocą „Starego Doktora“. Szczególnie dużo kłopotów nastęrczała mi praca z klasą V, dla tzw. „dzieci przerośniętych“. Czego tu nie było: złe zachowanie, duża liczba ocen niedostatecznych prawie ze wszystkich przedmiotów, palenie papierosów, niszczenie mienia społecznego itd. Trzeba było szybko poszukać źródła takiego stanu rzeczy. W tym celu przeprowadzona została ankieta, która przyniosła niezwykle ciekawy materiał. Okazało się bowiem, że wina tkwi nie tylko w uczniach. Wśród oskarżonych często musieli się znaleźć rodzice, a czasem nawet i szkoła. Oto charakterystyczna wypowiedź uczestnika ankiety:

„Moji rodzice nie żyją w zgodzie, nieraz tatuś przyjdzie pijany, zacznie robić awanturę o godz. 12-ej w nocy lub o 2 godz. Ojciec gdy robi awanturę wszyscy zrywają się ze spania, a ja także przylatuję do kuchni a ojciec mamusię bije, to ja podchodzę do ojca i mówię: tato, przecież już 2 godz. w nocy, idź spać. A ojciec wzięwszy haczyka lub kija grubego i zaczął mnie bić i dlatego ja nie mam zdolności do nauki przez ojca. Tydzień temu przed szkołą ojciec się dowiedział, że nie zdalem, to powiedział, że mnie zabije i uciekłem z domu. Nocowałem w polu, w sianie, żywiłem się brukwią i pomidorami“.

W tej szczerzej spowiedzi ucznia znalazłam potwierdzenie wypowiedzi Korczaka na temat „typowego człowieczeństwa“, które sprowadzało się do zarobienia iluś tam tysięcy rocznie na utrzymanie rodziny i to już było wszystko. Cóż mógłby odpowiedzieć np. ojciec chłopca, którego fragment

(Dokończenie ze str. 11)

czenie dziejów prasy okresu międzywojennego dwudziestolecia. Są to kwadratowe kartki, o wymiarach 30x30 cm. Tytułatura: „Kurier Poranny”. Wydanie chełmskie. Chełm, poniedziałek 25 września 1939 roku. Cena 10 groszy. Redaktor naczelny: Ryszard Piestrzyński. Wydawca: Stołeczna Spółka Wydawnicza. Tłoczono w Drukarni „Zwierciadło”, Chełm, ul. Lubelska 56, tel. 33. Na odwrocie zwracają uwagę tytuły: „Niemcy nie mają już żadnych szans”, „Już wkrótce Niemcom zabraknie benzyny”. Zestawienie daty wydania z tymi „wiadomościami” wystarczy za cały komentarz. Nieodparcie nasuwa się wrażenie, że redaktor Piestrzyński w drodze do Zaleszczyk zatrzymał się na chwilę w Chełmie i tutaj wydał ostatni być może numer „Kuriera Porannego”. Przypuszczenie, że była to ostatnia w ogóle gazeta legalna w 1939 roku, jest bardzo prawdopodobne, bo gdzieś 25 września było jeszcze myśleć o prasie? I zaraz następną refleksja. Drukowano ten „numer” w drukarni „Zwierciadło”, z której nie całe 5 lat później wyszły pierwsze arkusze Manifestu Lipcowego, zapewne składane tymi samymi czcionkami i powielane na tej samej maszynie. Historia sama sobie wymierzyła sprawiedliwość.

Andrzej Piwowarczyk

tyczne, zabawne, dobrze uchwycone w ruchu lalki, pomysłowe dekoracje, zwłaszcza zastosowanie „obróbki” w bajce o misiach.

W sumie program „szalapatkowo misiuowy” zaliczyć można do najlepszych przedstawień Teatru, który w swoim zakresie spełnia bardzo dobrą robotę, zasługując sobie na szczerą wdzięczność swych — coraz liczniejszych — młodych widzów.

Program przygotowali: inscenizacja i reżyseria — Stanisław Ochmański; scenografia i lalki: Andrzej Ejsmund; muzyka: Jerzy Dobrzański; wykonawcy: Andrzej Ejsmund, Liliana Ochmańska, Andrzej Rozhin, Alina Sternik.

A. T.

dokładniej ze świetlicą w szkole. Ma ona stać się „bazą”, na której rozwijać się będzie życie kulturalne wsi.

Młodzież myśli już o zorganizowaniu zespołu amatorskiego, Koło Gospodyń o różnych kursach dla kobiet. Są w planie pogadanki rolnicze, prelekcje, ba nawet wieczory autorskie i uniwersytet powszechny no i oczywiście potańcówki dla młodych.

Nowa szkoła, zanim jeszcze została oddana do użytku zrewolucjonizowała wioskę. Ewopole zajęło i miejsce w gmachach jeśli idzie o wpłaty na SFBS. Swój stosunek do władzy ludowej mieszkańcy wsi zaakcentowali 16 kwietnia, w dniu wyborów — o godzinie 9.15 rano głosowanie mogło tam zostać zakończone, wszyscy co do jednego oddali swoje głosy.

Z nowym rolkiem szkolnym dzieci będą uczęszczały już do nowej szkoły. Wkrótce też Stanisława Krukowska zamieni swą ciemną, wilgotną izdebkę na słoneczne, śliczne mieszkanie.

Szkoła szeroko otworzy swoje podwoje dla ludności wioski.

Stanisława Gogołowska

Julia, Romeo i propozycje

(Dokończenie ze str. 9)

nej mamy znakomity materiał na Elizę z „Pigmaliiona”.

Poza tym jak najbardziej zasługuje na kontynuację — i to w szerszym wymiarze — polityka sprowadzania co ciekawszych spektakli z Warszawy (konkretnie „Kochanego Kłamcę”), a także zapraszanie wybitnych aktorów pozalubelskich na gościnne występy w spektaklach przygotowanych lubelskimi siłami. Nie trzeba przypominać tak ze wszech miar udanego precedensu z „Romulusem” i Swiderskim. Niechże za nim pójdą inni! Kto wie, czy Holoubek nie zgodziłby się wystąpić gościnnie w roli Edypa; jeśli idzie o resztę obsady teatr lubelski miałby chyba wszelkie szanse dorównania Dramatycznemu.

Jeszcze jedna propozycja: wyjścia z wiosną i jesienią w plener. Marzy mi się jakaś polska prapremiera „Zakeril” na schodach Zamku, jakieś powtórzenie schillerowskiej inscenizacji „Krakowiaków i górali” w muszli parkowej (na przykład przy współudziale zespołu Kaniorowej), a może też zorganizowanie letniego teatru pod żaglowym płótnem na dziedzińcu Zamku. I przy tej okazji wycieczki z całej Lubelszczyzny, podobne do tych, jakie umiano zmobilizować dla szmirowatej „Paris sur glace”...

Szkoła, która przeobraża wieś

(Dokończenie ze str. 10)

Wojewódzkiego Partii, Władysława Kozdry, i do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, Pawła Dąbka. Niecnie poprosi ich w imieniu całej wsi, żeby przyjechali tu do Ewopola na tę wielką ich uroczystość — położenie kamienia węgielnego pod budynek szkoły.

Stanisława Krukowska nie bardzo wierzyła w skuteczność tych zaproszeń, nie mogła jednak oprzeć się błaganiom chłopów, przeszkalała więc swój uboższyny pokój. Nie zmalała ani piękny papier, ani złoty czy srebrny farby, tylko arkusz „bristolu” i czarny atrament, którym poprawiała zazwyczaj zadania swoich uczniów. Wykroiliła więc z „bristolu” bilecik i wypisała na nich gorącą prośbę wsi. Chłopi sami zawieźli te skromniutki zaproszenia do Lublina.

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom nauczycielki, która nie wierzyła by i sekretarz KW PZPR i przewodniczący PWRN znaleźli czas na przyjazd akurat do Ewopola, zjawili się oni tam w ową czerwcową niedzielę. Cała ludność wioski zebrała się na placu pod przyszłą szkołą, gdzie miała odbyć się

czytać... Ja, odkąd zdałam maturę, nie wzięłam książki do czytania. Nie lubię czytać, chyba że jakiś kryminał... Niestety, Korczak nigdy nie trafił jeszcze do jej rąk, a szkoda, może inaczej patrzyłaby dziś na prasę i jej rolę w naszej codziennej pracy.

Okazuje się, że optymizm jego był pozorny, afirmacja urbanizmu chwilowa. Poeta cywilizacji nie ufa:

uwaga! tylko pilnie
jakie to tempo życia
jakie prędkie niepewne
jakie nieokiełzane

Metafizyka

Znać tu zagrożenie człowieka przez cywilizację, strach przed nią. Owo zagrożenie — i to jest znamię oryginalności poety — skłania go do szukania ratunku i dróg wyjścia. Szuka ich, ale nie znajduje. Korzysta na tym jednak jego poezja. Bogaci się o moment niepokoju, niespodzianki i tajemnicy. Rodzi się strach przed katastrofą, śmiercią i drugim, nieznanym światem. Nie darmo ostatni werset *Parabol* brzmi tak przejmująco, o ile nie czytamy go tylko dosłownie:

ale kiedy stłuką nam latarnie
noc ogromna wszystkich nas ogarnie

Takie słowa i takie wiersze jak *Metafizyka* są już całkowitym wyjściem poza futuryzm. Zresztą nie dziwnego, w r. 1926, kiedy *Parabole* ukazały się drukiem, futuryzm należał już do — niedawnej wprawdzie — przeszłości.

Młodzieńczy ton Grędzińskiego był przede wszystkim bilansem futurystycznej młodości. Stanowił też zapowiedź nowego. Zapowiedź niespełnioną. Dla dzisiejszego czytelnika *Parabole* będą może tylko dokumentem epoki. Ale niezapelnione. Bo w kilku wierszach, m. in. w *Drodze*, ujawnił Grędziński liryzm czysty, oszczędny i surowy, budzący dziś jeszcze poetyckie wzruszenie. I to wystarczy.

Tadeusz Klak

Grędziński — czwarty z „Reflektora”

(Dokończenie ze str. 6)

człowieka mogła być tutaj przejawem ówczesnej konwencji poetyckiej. Ale nie. Grędziński do tej sprawy jeszcze powraca. Deklaruje już nie tylko braterstwo z ludźmi, on sam chce być prostym człowiekiem:

Cud uczyni Panie nade mną
bym był jak ludzie prości

Psalm

Spotykamy jednak zdania i wiersze, gdzie Grędziński odbiega od konwencji futurystycznej poezji.

ny-Stefańska, Reginę Smędziankę, Zmudzińskiego, Szymonowicza, słynnego niewidomego pianistę Edwina Kowalika, Wandę Wilkomirską...

Niemalych starań wymagało sprowadzenie kilku wielkich dyrygentów, ale w rezultacie i tutaj szykują się same przyjemności. Bo proszę: Georgy Schel, słynny dyrygent budapeszteński, przyjedzie jako „wymiana” za moje występy na Węgrzech. Wraz z całym zespołem wiele spodziewam się po tym spotkaniu... Poza nim stanie za dyrygentkim pulpitem Bulgar. Z dyrygentów polskich zapowiedzieli swe występy m. in. Zbigniew Chwedeć z Bydgoszczy, J. Katlewicz z Poznania, K. Stryjak ze Śląska, Michał Baranowski, St. Michalek i Witold Krzemiński.

LAMENTOWANO niedawno, słyszałem nad poziomem części lubelskiej publiczności. Nie wiem, jak jest gdzie indziej — publiczność, z którą spotykam się w Filharmonii jest wspaniała! Jej reakcje niezwykle prawidłowe. Proszę podkreślić, że nie jest to mój osobisty ukłon; tego zdania sa wszyscy przyjeżdżający do Lublina dyrygenci i soliści.

Siarzyste brawa, jakim publiczność wita wszelkie muzyczne nowości, nie w znaczeniu muzyki nowoczesnej, która, nawiasem, osobiście uwielbiam, lecz w znaczeniu dzieł dotychczas u nas wykonywanych, powodują, że w planach na przyszłość staram się umieścić ich jak najwięcej. Dla smakoszy tę informację zostawiłem na koniec: przygotowujemy oprócz pozycji już wymienionych poemat symfoniczny Liszta „Hungaria” oraz Suitę Scytyjską Prokofiewa...

CZY naprawdę koniecznie muszą coś o sobie? Więc krótko: skończyłem dyrygenturę w roku 1953, a w 1955 — kompozycję, obie w klasie nieodżałowanej pamięci zmarłego profesora Artura Malawskiego w Krakowskim Konserwatorium. Marzenie? Móc wykonać wraz z lubelskim zespołem chociaż część dorobku mego dawnego profesora...



wypowiedzi przytoczyłam, gdyby zapytany został przez swoje dziecko: co to znaczy być człowiekiem?

Wiem, że wiele jeszcze dyskusji trzeba przeprowadzić z rodzicami dzieci, których ucze, by jakoś inaczej, właściwiej spojrzeli na swoje dzieci i obowiązki. Wiem też, że czasem taka rozmowa nie przyniesie rezultatów i szkoda na nią czasu. Często nie pomoże zaden entuzjazm i najlepsze chęci, ale czy wolno się wobec tego zrażać? W takich trudnych chwilach wątpliwości trzeba właśnie sięgać do Korczaka, by zarażać się jego optymizmem i wiarą w dobre dyspozycje psychiczne człowieka.

Janusz Korczak wskazał na jeszcze jedną bardzo ważną sprawę w pracy nauczyciela — śledzenie nowej literatury pedagogicznej, literatury pięknej, o czym tak powiedział: „Jeśli wieczorem bodaj trochę nie poczytam, czuję się brudny, jakbym się nie mył”. Trzeba przyznać, że wśród swoich kolegów nie spotykam się często z realizacją tego hasła. Szkoła prenumeruje wiele czasopism fachowych, literackich i regionalnych, ale ile razy pożyczam te dzienniki, są w ogóle nie rozcięte, nie przeczytane. Toteż nic dziwnego, że wielu nauczycieli unika dyskusji na bieżące tematy. Jedną z koleżanek zdziwiona moimi zainteresowaniami prasa powiedziała: że też chce się pani

JEZYK KRÓLÓW

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

Epodendokles III podniósł się energicznie z tronu i splunął z obrzydzeniem. Zdecydowanie obrzydła mu ta cała heca z panowaniem.

Kraj chylił się ku upadkowi, a on — Epodendokles III siedział na tronie jak ten pajac i na dobrą sprawę nie mógł nic na to poradzić!

Wykonał zamach jednorącz i berło, przy akompaniamencie trzasku rozpryskujących się szczy, wyleciało przez palacowe okno.

Zjął z głowy szczyrzołotą koronę i puścił nią kaczkę po lśniącej jak lustro podłodze pałacowej komnaty.

I wtedy rozpoczął szaleńczy taniec. Nie była to samba, nie był to rock-and-roll. Był to jakiś taniec radości i smutku, taniec nowoczesny i pierwotny zarazem.

W czasie tańca Epodendokles III zrzucił z siebie szaty. Jego płaszcz królewski, koszula, królewskie kałesony, skarpetki, królewski podkoszulek — te wszystkie elementy jego królewskości fruwały wokół niego, by wreszcie paść z pełnym zdziwienia westchnieniem na zimną posadzkę.

Epodendokles III był całkiem nagi, ale tańczył nadal z entuzjazmem.

Do komnaty weszli dworzanie. Chociaż nie należeli do ludzi najbystrzejszych — spostrzegli szybko, że ich król jest nagi. Najmędrzy z nich nie ośmiękali podzielić się ze swymi kolegami następującym spostrzeżeniem:

— Zupełnie jak w tej bajce Andersena. Okazało się, że król jest nagi.

Usłyszał te słowa Epodendokles III, przerwał taniec i oznajmił:

— Pardon, moi drodzy, mylicie się. Wasz król nie jest nagi. Wasz król jest tylko rozebrany. A to zasadnicza różnica!

Ton jego głosu był groźny i nieprzychylny. Co było robić? Padli na kolana i uderzyli pokornie czołami o posadzkę.

Król ubrał się powoli, kazal przynieść berło, zasiadł na tronie i zaczęło się wszystko od początku.

Fatalna trzynastka

(Dokończenie ze str. 11)

— Nieprawdaż, że o niczym nie zapominam?

— I powtarzasz się pan, aby słuchacze nie zapomnieli.

— Bo też trzeba dbać o jasność. Tym, co Bartek lubił tyle albo i więcej niż żonę, było zaiste wino okoliczne, po trzy su miarka; a odmienny gust żony na tym się zasadzał, iż lubiła jedynie wodę źródlaną, a znieść nie mogła winnego moszczu.

— Co za poezja, doktorze.

— Czasem mi się na nią zbiera, proszę pana. W gustach Bartka to było niedobre, że wino, rozgrzewając lechtliwie fibry żołądka, uderzało do gorących fibrow mózgu ostrymi waporami, co sprawiało, że popiwszy sobie, Bartek robił się grubianinem, brutalnym i złośliwym na dodatek.

— Otóż i pozwól pan sobie powiedzieć, doktorze, definicja nieomal godna lekarza mimo woli.

— Obrażasz mnie pan, ja zostałem lekarzem nie mimo własnej woli, lecz na przekór wszystkim innym, mój geniusz mnie porwał... W zgola zasię odmiennym guście Balbiny to było niedobre, że obfitość wody przemawiającej jej rozluźnione wnętrzości, rozpuszczając nadmiernie niedogotowane potrawy, macając, jednym słowem, ton wewnętrzny — przeszkadzała w trawieniu, burzyła soki, powodowała złośliwe, bezsenność, ziewanie, nudę i nosła do osłabłych bion mózdzku humor uparty i zgryźliwy, co powoduje, że kobiety kontentujące się wodą to — na ogół rzecz biorąc — jedzą i sekutnie. Widzisz więc pan, że trzeba było skojarzyć te dwa różne i odmiennie gusta, aby stworzyć z nich jedno dorzeczne łaknienie. Dobrze by było, gdyby Balbina dolewała cokolwiek wina do wody, aby Bartek lał dużo wody do wina, albowiem temperamenta meza i żony spotkałyby się wówczas w złotym środku, albowiem...

— Nie męcz się pan, doktorze, odgaduję resztę.

— Tak więc dowiodłem, proszę pana, że gdyby sprawy ułożyły się w sposób,

jaki panu wyłożyłem, nie przydarzyłaby się katastrofa, o której mam jeszcze opowiedzieć.

— Nuże, doktorze, katastrofę.

— Stało się to, proszę pana, roku 1773, w piątek, trzynastego października, o ósmej godzinie minut trzynastu wieczorem. Przy okazji czynię pana uważnym, iż zbieg kilku trzynastek jest zawsze fatalny.

— Sam to sobie pomyślałem.

— Właśnie zakończono winobranie, bo owego roku winnice dojrzaly późno. Bartek opuszczając kadz, w której tłoczył wino, wychylił duszkiem trzynastę kubków moszczu. Do demu wrócił nie człowiek, tylko diabeł. Balbina rwała na obiad jajecznicę z trzynastu jaj i popiła ją wodą. Nie sprzyjało to trawieniu. Balbina, widząc podłego Bartka, ziewnęła, skrzywiła się i rzekła mu coś niemilego, Bartek w odpowiedzi pogroził jej pięścią i grubym słowem. Balbina w przystępie niehumoru wyrzuciła Bartka trzynastu talerzami w łeb. Bartek w pierwszym porywie walnął ją trzynastą razy różnem po głowie. Gdy ujrzał ją bez życia, poczuł, jak mu była droga. Zrozpaczony rzucił się na trupa błagając o przebaczenie, że ją zabił. „Biada mi — zakrzyknął żałośnie. — A przecie pierwszy to raz trafia mi się coś podobnego”. Po czym wstał z miną człowieka wiedzącego, co czyni, poszedł do kadzi i rzucił się w nią, z rękoma na piersi, głową na dół. Dożyto go po trzynastu sekundach, był już na dobre niezżywy i utopiony.

— Ach doktorze, co za budująca i długa historia!

— Nie ja ją wydumałem, to tradycja okoliczna. Ale słuchaj pan dalej. Zgorzszona sprawiedliwość zajęła się sprawą; zabrano ciało Bartka, w którym, szczęściem dla niego, nie było już duszy; powieszono je za nogi. Zagrodę zrównano z ziemią, a grunt puszczono na licytację. Ten, co go kupił, nie zrobił dobrego interesu; nie odważył się nigdy zamieszkać w tej oficynie. A oto dlaczego. — Rok w rok, gdy nadchodził czas winobrania, dokonuje się tu straszna odmiana. Zapadają ciemności, niebo blednie, ziemia drży, dom drga w posadach, szaleją rozpasane żywioły, dach zdaje się pisać, mury czerwienią od krwi czy od wina, we wnętrzu rozbrzmiewają dzikie balasy, ucho zdaje się słyszeć brzęk talerzy i ciosy różna, jęki konającej i krzyki topielca...

Widzi mi się

ZAMIĄST LISTU

Drogi Jaszczu!

Starym zwyczajem przypominasz sobie o moim istnieniu dopiero, kiedy jesteś za granicą, lub w górach, i wtedy przysyłasz mi konwencjonalną widokówkę. Dobrze i to. Ale nie dam się już nabrać na napisanie do Ciebie listu, na który wiem, że mi nie odpowiesz. Chyba że tak, jak to czynię teraz.

Stwierdziwszy w czerwcowej kartce, że byłeś w Tatrach Zachodnich oraz na Orawskiej Prehradzie, wnioskuję, że jesteś „więc” góróm wierny i pytasz mnie figlarnie: „A Ty?” Mój drogi, jestem od Ciebie o cztery lata starszy i nigdy nie miałam ani takiej kondycji, ani na swym konczie takich jak Ty zdobyczy i jeśli Ty w zakończeniu swej pięknej książki odważnie oświadcza: „trzeba umieć godnie zejść ze sceny”, co ma rzec szaraczek, który dostąpił jedynie pierwszego „kręgu wtajemniczenia”?

Te słowa: czy jesteś wierny góróm, świadczą o tym, że nie czytujesz „Kamenu”, gdzie byś nieraz na to pytanie znalazł odpowiedź. Rokrocznie wyjeżdżam do Zakopanego, ale zawsze w tym czasie, kiedy Ciebie tam nie ma. I dlatego nie spotykamy się na ścieżkach górskich. Chyba te wyjazdy mówią coś o wierności.

W ostatnim roczniku „Wierchów” przeczytałem z ogromnym zainteresowaniem relację Stanisława Biela „Na wschodniej ścianie Matterhornu”. Myślałem, że Tyś to czytał nie tylko z ciekawością, ale i z zazdrością. Dzięki W. Krygowskiemu z tych samych „Wierchów” czytelnik polski dowiedział się narazie o uroczym rysowniku francuskim — Samivelu. Alpinizm w karykaturze to temat wyjątkowy. Zresztą Samivel to nie tylko karykaturzysta. Nie wiem, czy znasz jego ilustracje do wydawnictwa „Les écrits de la montagne” — te góry aż zdematerializowane przez niego w pięknie.

W n-rze 2 „Taternika” za r. 1960, który ukazał się niedawno (sic!) uderzyła mnie wiadomość, że Ghiglione jeszcze teraz, w 76 roku życia zdobył w Himalajach sześćdziesiątka. Co Ty na to? A zdjęcie, jak zawsze w „Taterniku” bardzo dobre. I kto by to pomyślał, że ta groźna przepaścista Rastupetu na Spitsbergenie jest o 67 metrów wyższa od pocziwej świętokrzyskiej Łysicy! Na tym przykładzie uwydatnia się dopiero określenie: „nad poziomem morza”.

Jak widzisz, jestem au courant pracy taternickiej. Czy to też wierność?

Ale muszę ci opowiedzieć, jaką niedawno przeżyłem przygodę. Zapadłem nieoczekiwanie na chorobę, której ulegają nieraz eksploratorzy wysokich gór i która na parę tygodni uniemożliwiła mi w łóżku. I żeby wszystko należało scharmonizować, postarałem się o odpowiednie do zapalenia płuc otoczenie. Książki, które od dawna czekały na moje wolne chwile, przeniosły mnie, gdzie trzeba. Z Hajdukiewiczem i Szwajcarami odbywałem długą wędrówkę ku Himalajom do Lodowca Mayandi i na próżno szturmowałem do Dhaulagiri. Urzekła mnie (na fotografii) kusząca zjawca Nilgiri w nierealnym lśnieniu niebieskich lodowców. A powróciwszy z Hajdukiewiczem do Zakopanego, pod kierownictwem Maurice'a Herzoga znowu wróciłem w te strony, bo Annapur znajduje się w sąsiedztwie Dhaulagiri. Przechywałem nadludzkie bohaterstwo Lachénala i Herzoga, którzy w straszliwych warunkach zdobyli szczyt za cenę poważnych odmrożeń nóg i rąk i chwilowej ślepoty. Podziwiałem koleżeństwo i zgranie całej ekipy francuskiej, bez czego niemożliwe byłoby zwycięstwo dwóch śmialków. Towarzyszyłem operacjom chirurgicznym dokonywanym przez Oudota na oświatach odmrożeń, operacjom odbywanym w namiocie przy huku spadających lawin. Rozumiem końcówce słowa książki Herzoga „Kotysy na noszach” — sę o kończącej się przygodzie, o nieoczekiwanym zwycięstwie. Zawsze mówię sobie o ideale jako o celu, do którego się wciąż dąży, lecz nie osiąga się nigdy. Dla każdego z nas Annapur jest spełnionym ideałem... Z urzeczywistnieniem się tego marzenia odwraca się karta... Zaczyna się nowe życie... Są inne Annapurny w życiu ludzkim... I mimo kalectwa obaj zdobywcy Annapurny chodzili jeszcze po Alpach, a Lachénal zginął w nich w pięć lat potem...

Ech, Jaszczu, i gdzie to nam mówić o wierności w stosunku do gór! A po „Annapur” (uciąż w łóżku) „Tygrysy Himalajów” — inne epeje górskie i najstraszniejsza z nich — wyprawę na Nanga Parbat — 10 ofiar w r. 1934 i 16 w r. 1937! I w r. 1953 samotny zdobywca szczytu Hermann Buhl, który (znowu ironia losu) w cztery lata później zginął w Karakorum.

Po „Tygrycach” zabrałem się (do piero teraz) do lektury „Zdobycia Mount Everestu”. Na razie to relacja bardzo sucha. John Hount to nie Smythe. Pamiętasz jego „Szósty obóz”? Więc jak, Jaszczu, — jeśli te książki nie tylko mnie nie nudzą, ale czytam je z pasją, to chyba też odpowiesz na Twoje pytanie.

X. Rovay

NOTY

W SPRAWIE STANISŁAWA BRZOWSKIEGO. W n-rze 153 „Kuriera Lubelskiego” Romuś Karas (artykuł „...krzywdą gorszą niż zbrodnia”) przypomina wciąż jeszcze nie zamkniętą sprawę Stanisława Brzowskiego, którego 50-lecie śmierci przypada w r. b., i podaje do wiadomości, że w Lublinie znajdują się nieznane dokumenty, które mogą rzucić nowe światło na tę bolesną historię. Cytujemy najważniejszy fragment wspomnianego artykułu: „W 1952 r. zmarł w Lublinie Wacław Salkowski, znany w środowisku lubelskim prawnik i bibliofil. W testamentie swój majątek przekazał córce Jadwidze Beckowej, żonie przedwojennego ministra spraw zagranicznych Polski. Spadkobierczyni, mieszkająca na stałe w Anglii od momentu napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, nie przyjęła zapisu. Zgodnie z wolą zmarłego spadek w takim wypadku przeszedł na córkę Beckowej — Joannę Zarębę-Twieniecką. W wyniku postępowania spadkowego, które przez kilka lat prowadził mecenas Tadeusz Krzysztoń, wnuczka Salkowskiego stała się właścicielką majątku. Wraz z nim weszła w posiadanie pozostałości przez bibliofila dokumentów po wybitnym pisarzu i krytyku Młodej Polski — Stanisławie Brzowskim. Mimo licznych starań, jakie od dwu lat czynię celem uzyskania dostępu do rękopisów — niczego nie osiągnąłem. Adwokat twierdzi bowiem, iż nie ma prawa ich pokazania. Dla mnie jednak pozostaje faktem więcej niż oczywistym, że los dokumentów nie wydaje się bezpieczny. Przed dwoma laty w krótkiej notatce ogłoszonej w prasie warszawskiej sugerowałem, że mogą być wywiezione za granicę, toteż należy poczynić starania celem ich zdobycia. Choć notatka adresowana była do Instytutu Badań Literackich — miękła bez echa. Od owego czasu udało mi

się odnaleźć osoby, które dokumenty oglądały. Twierdzą one, iż Salkowski zgromadził listy Brzowskiego pisane do siostry. Pisarz podobno tłumaczył się w nich z oskarżeń, ukazuje dokładnie kulisy sprawy, wiele faktów w porównaniu z tym co wiemy, jest w tej korespondencji nowych. [...]

Uważamy, że lubelska korespondencja po Brzowskim powinna jak najszybciej znaleźć się w Ossolineum, gdzie przechowywane są liczne rękopisy wybitnego krytyka. Pewne sugestie, że spadkobierczyni, która niedawno odwiedziła Polskę, nosi się z zamiarem oddania listów pisarza w depozyt którejś z bibliotek kościelnych, należy potraktować jako zamierzenie niesłuszne i szkodliwe. Puściłna po Brzowskim, pisarzu i krytyku bez wątpienia wybitnym, jest dobrem narodowym. To przemawia za tym, że lubelskie dokumenty powinny znaleźć się w miejscu nie wyłączonej od społecznego dostępu, lecz przeciwnie, jak najbardziej dostępnym dla badaczy dzieł literatury i życia jej twórców”.

„KONIEC MASZYNY ZAMULAJACEJ”. Z n-ru 27 „Nowej Kultury” dowiadujemy się, że w n-rze 6 „Dziennika Ustaw” Ministerstwa Oświaty z dn. 31 maja 1961 r. ogłoszono program nauczania języka polskiego w szkołach ogólnokształcących i zawodowych. Z listy lektur z języka polskiego w szkołach ogólnokształcących skreślono m. in. „Odrwę posłów greckich”, „Dziadów” cz. II i „Konrada Wallenroda” (sic!).

OSZCZĘDNOŚĆ PAPIERU. W n-rze 88 „Przekroju” całą stronice II zajmują tzw. „Kocie imiona”. Alfabetycznie od „Agata” i „Agatki” do „Zenutka” i „Zeni”, wyszczególniono tu około 200 imion takich kocich par. Ten dowcip, przeznaczony nie wiadomo dla jakich czytelników, uzupełniono siedmioma rysunkami kotów. Jeżeli przyłmiemy, że nakład „Przekroju” wynosi co najmniej 100.000 egzemplarzy, zamawiano 100.000 stron „przekrojowych”, czyli przeszło 4.000 zeszytów.

-kaj-